



U 372.987



nr. 1.

BIBLIOTEKA  
„ILUSTR. KURYERA CODZIENNEGO“  
W KRAKOWIE

1.50  
zł.

ALEXANDER  
BLAZEJOWSKI



SAD  
NAD  
ANTYCHRYSTEM

ANTOLOGIA

DI MONSIEUR

LE COMTE DE VANDER

DE VANDER

DE VANDER

DE VANDER

DE VANDER

DE VANDER

DE VANDER

DE VANDER

DE VANDER

DE VANDER

DE VANDER

DE VANDER

34929

Aleksander Błazejowski

# Sąd nad Antychrystem

Powieść sensacyjna

N<sup>o</sup> 10



Kraków 1927. Nakład „Ilustrowanego Kuryera Codziennego”.

Biblioteka Narodowa  
Warszawa



30001007637870



BTażej  
sąd  
66

66

---

Drukarnia „Il. Kuryera Codz.” w Krakowie  
pod zarządem Feliksa Korczyńskiego, 1927.

---



II 372.987



## WSTĘP.

### Tajne zebranie.

Noc lipcowa otuliła miasto w miękkie fałdy swej czarnej szaty.

Gdy Warszawa pulsowała tętnem życia nocnego, — Praga-miasto po ciężkiej pracy spało od dawna snem kamiennym. Z ciemnych labiryntów ulic źle oświetlonych pełgającymi latarniami, dochodził czasem tylko gwar przyciszzonej rozmowy i wkrótce milkł, jakby onieśmielony, czasem znów zakłócił ciszę krzyk pijanego lub głos harmonji od strony zawsze czujnego Targówka.

Ulicą Żabkowską szło trzech młodych ludzi. Zniszczone ubrania i wymięte maciejówki nadawały im pozory robotników, choć dziwnie przeczyły temu delikatne rysy ich twarzy. Szli lekkim, sprężystym krokiem, jak żołnierze.

Dwóch rozniawiało z wielkim ożywieniem. Ton ich głosu przewyższał od czasu do czasu skalę zwykłej rozmowy i przypominał kłótnię. Wtedy trzeci, najniższy wzrostem, ostudzał ich zapał:

— Uciszcie się na Boga, jeśli nie chcecie znów wsypy. Tyle razy przepłaciliście drogo te wasze wieczne dyskusje na ulicy. Doprawdy, że chyba nikt was z tych kłótni nie wyleczy...

Po tem upomnieniu obaj umilkli, rozglądali się trwożliwie wkoło, ale wkrótce rozpoczynali znów

rozmowę, tylko tak przyciszonym głosem, że jeden zaledwie dosłyszał drugiego.

Gdy przechodzili koło państwowej rozlewni spirytusu, z cienia latarni wysunął się żyd w chałacie i pluszowym kapeluszu. Żyd pocierał jedną zapałkę po drugiej, jakby starał się zapalić zgasłego papierosa.

Młodzi ludzie zauważyli natychmiast, że zapałka, którą żyd manewruje ma mniej na celu zapalenie ogarka, jak raczej oświetlenie ich twarzy. Natychmiast porozumiewawczo trącili się łokciami i zwalnając krok, skręcili na jezdnię, idąc wzdłuż szyn tramwajowych.

Żyd uczynił początkowo krok naprzód, później jednak zawahał się, widocznie obawiał się spotkania z nimi w ciemnej bezludnej ulicy; wreszcie zawrócił ku Żąbkowskiej. Młodzi ludzie doszli do zakrętu, skryli się w cieniu parterowego domu, obserwując dokładnie ruch nieznanego. Sylwetka żyda nikła jednak coraz szybciej w cieniach ulicy, aż rozplynęła się zupełnie w czarnym tle. Młodzi ludzie słyszeli już tylko stapanie ciężkich butów po płytach chodnika.

Teraz jeden warknął z tłumioną pasją:

— Ach te psy zatracone!

Potem spokojnie obeszli kołem Białostocką i tor kolejowy, weszli w ulicę Tarchomińską i zatrzymali się przed jakimś niewykończonym jeszcze domem. Najniższy wzrostem włożył rękę w szczelinę desek, które zastępowały bramę i od wnętrza przekreślił skobel. Brama otworzyła się natychmiast. Weszli do ciemnego wnętrza, kierując się w błyskach zapałki ku schodom.

Uderzył ich niemiły zapach potu ludzkiego i brudu, który przyprawiał o mdłości. Typowy odór przedmiejskiej kamienicy, zamieszkałej przez rzeszę nędzarzy.

Gdy wchodzili na schody z ciemnego kąta błysło światło elektrycznej latarki, oślepiając ich zupełnie. Ostry, wąski snop światła, jak długi język, lizał ich

twarze, zatrzymując się długo na każdym z nich oddzielnie. Po chwili światło zgasło i jakiś cichy głos odezwał się:

— Trzecie piętro na prawo. Zapalek świecić nie wolno. — Ostrożnie, bo schody mają prowizoryczną poręcz.

Wspinali się teraz ku górze, trzymając się w ciemnościach nieheblowanej listwy, która zastępowała poręcz schodów i wyginała się przy każdym silniejszym nacisku. Na drugim piętrze kamienne schody urywały się nagle, a połączenie z trzecim stanowiła tylko deska z powbijanymi poprzecznymi szczeblami. Weszli na trzecie piętro, zatrzymali się chwilę, nad słuchując pilnie. Z kąta dochodził ich uszu gwar przyciszonych głosów. Spostrzegli wreszcie drzwi.

Wejście stanowiła mała kuchenka, oświetlona mdłym światłem lampki naftowej. Dwie młode kobiety dolewały właśnie wody do rozżarzonego samowara. Milcząco przeszli przez kuchenkę, weszli do olbrzymiego pokoju, w którym przy świecach i lampkach naftowych siedziało kilkunastu mężczyzn i kilka kobiet, gorąco dyskutując.

Gęsty dym papierosów wypełniał doszczętnie każdy kąt pokoju, a woń mokrego jeszcze tynku i wapna zatruwała oddech.

Na widok przybyłych gorąca dyskusja w jednej chwili ustała.

— Oswobodzenie! — powitali młodzi ludzie obecnych.

— Śmierć katom z Ekaterynoburga! — odpowiedziało zgodnie kilkanaście głosów.

— A czemuż tak późno? — spytał po rosyjsku siwy człowiek w rogowych okularach.

— Otrzymałmy dziś korespondencję z Berlina, kilka grubych kopert w płótnie, mocno opieczetowanych — odparł jeden z przybyłych. Obawialiśmy się wyspy; dlatego koperty rozdzieliliśmy między siebie. Szpieczy musieli coś zwęszyć, bo poobstawiali nas tak, że musieliśmy długo kołować po mieście. Nie

lepiej było i na pragskim moście. Ostatniego pachotka spotkaliśmy jeszcze na Ząbkowskiej. Ciemno było, więc palił zapałkę, aby lepiej nam się przypatrzyć.

— A nie wlaź na Tarchomińską? — spytał ktoś z obecnych.

— Nie wlaź. Widocznie bał się rozmowy z nami w ciemnej ulicy.

— Tak i szczęście — westchnął siwy pan w szklach. — Może jakiś czas będziemy mogli tu spokojnie się zbierać i nikt na kark nam nie wlezie. Dobrze było na Erywańskiej, lecz nas nakryli. Wal teraz brat na Pragę, gdzie staremu i ciężko i trudno po nocy...

— Niedobrze tu, niedobrze i w kraju... — mruknął jakiś brodaty człowiek i utkwił wzrok w wilgotnej ścianie.

Ciche westchnienie odpowiedziało z kąta.

Młodzi ludzie wyjęli z kieszeni pakiety, wręczyli je przewodniczącemu. Każdy pakiet opakowany był w nieprzemakalne, cienkie płótno, jak w kopertę i opatrzony licznymi pieczęciami.

Staruszek ujął delikatnie kopertę w rękę, długo jej się przypatrywał.

— Dawno dostaliście to? — spytał.

— Dziś rano — odpowiedział jeden z przybyłych — gdy jeszcze spałem zbudziło mnie pukanie do drzwi. Otworzyłem i wszedł do pokoju jakiś człowiek w mundurze konduktora wagonów sypialnych. Wymienił hasło, wręczył mi te koperty z poleceniem, bym dziś jeszcze doręczył je wam, generale Burjatin. Posłaniec nie dał się zatrzymać i znikł jak kamfora na schodach. Przesyłkę schowałem, uwiadomiłem Aloszę i Zołbowa i we trójkę przynieśliśmy tutaj tak, aby jeśli jednego z nas aresztują, lub skręca mu kark, inni mogli papiery doręczyć.

— Dobrze zrobiliście — pochwalił generał Burjatin, badając ciągle każdą pieczęć oddzielnie. Potem wyjął nożyk i przecinał szwy i sznurki pieczęci.

Ogólne milczenie towarzyszyło robocie starca.

Wszyscy skupili wzrok na jego białych palcach, jakby miały one dokonać rzeczy niezmiernie ważnej. Generał wy dostał wreszcie z płóciennych kopert plik dziesięciodolarówek i kilka długich pasków papieru, zapisanych drobną szyfrą.

— Ach, to z Berlina... — mruzczał pod nosem Burjatyn. — Bardzo w porę przyszły pieniądze...

Plik dziesięciodolarówek podsunął starzec jednemu z obecnych do przeliczenia. Sam w głąbił się w czytanie skrawków wąskiego papieru.

W miarę czytania, twarz Burjatyna poważniała, potem nabierała wyrazu jakiejś zawziętości. Białe, krzaczaste brwi zbliżały się coraz więcej ku sobie i zeszły się nad orlim nosem. Niekiedy starzec powracał wzrokiem do przeczytanych już ustępów, jakby ich nie rozumiał, potem przecierał nerwowo szkła, jakby niedowierzał własnym oczom. Czytał długo. Astmatyczny oddech poruszał coraz szybciej klatką piersiową i wydostawał się ze świstem, jak przez mosiężną rurę.

Wszyscy śledzili z napięta uwagą twarz Burjatyna. Głośniejszym oddechem bano się przerwać skupienie.

Wreszcie stary generał odłożył plik papierów, zdjął rogowe szkła, wlepił oczy w ciemny kąt pokoju. W jego dużych, wypukłych oczach krótkowidza malował się gniew, potem żal. Nikt pytaniem nie przerwał zamyślenia. Teraz starzec mruzczał jakby sam do siebie:

— Ano! szkoda człowieka...

— Co się stało generale? — spytał nieśmiało ktoś z kąta.

— Ano, jesteśmy ludzie silnych nerwów... osiągnęliśmy bezgraniczną ofiarność dla ojczyzny, więc i ten cios zniesiemy... — dopowiadał Burjatyn do własnych myśli.

— Co się stało generale? — spytało już kilka głosów.

Starzec jeszcze milczał, jakby unikał odpowiedzi. Wreszcie cicho wyjąkał.

—Browkin wpał w ręce oprawców. Taki dzielny, prawy oficer...

Z kilku piersi naraz wyrwał się jęk przerażenia.

— Donoszą z Berlina, — ciągnął Burjatyn, — że aresztowano go w Brjańsku. Sam zgłosił się do mnie, sam podjął się misji. Papiery miał dobre, jechał najłatwiejszą linją, przez Kowel—Hołoby. Widocznie był donos. Musiano go bacznie śledzić, bo niekrępowano w ruchach. Z Kijowa dał jeszcze znak życia. Donoszą, że był u Habałowych. Potem musiał wyczuć, że gorąco pod nogami, bo ni stąd ni z owąd skręcił na Kursk do Orła, potem do Brjańska. Tam wreszcie zamknięto pułapkę. Odpięli mu z nogi protezę, rozcięli na niej skórę i wydobyli wszystkie papiery. Widoczne jest, że mieli o nim dokładne informacje...

— Czy żyje? — przerwał nerwowo ktoś z obecnych.

— Żyje, — cicho odpowiedział starzec.

— Tem gorzej, — westchnęło bezwiednie kilka głosów.

— Chryste spasi! — ryknął nagle jakiś młody człowiek i ukrył twarz w dłoniach. Za chwilę ciałem jego wstrząsnął spazmatyczny płacz.

Wszyscy spojrzeli porozumiewawczo na siebie. Nastąpiła taka cisza, że przez uchylone drzwi słyhać było skwierczenie węgla w samowarze.

Burjatyn jakby się zbudził ze snu. Dobre, jasne oczy starca, pobiegły w kąat pokoju; widocznie niedowidziały, bo spytał:

— Kto płacze?

— To brat, Alosza — szepnęło cicho kilku ludzi. W oczach Burjatyna błysły łzy.

Deprymujące milczenie przedłużało się bez końca. Nagle z ciemnego kąata, z którego dochodziły rozpaczne łkania, odezwał się miękki głos:

— Chcę coś powiedzieć...

Przewodniczący przyzwalająco kiwnął głową. Między krzesłami przeciskał się mały, garbaty człowiek w wypłowiałym mundurze kolejowca rosyj-

skiego. Stał wreszcie obok stołu. Światło lampy naftowej padło na jego twarz... Był potworny.

Na dwóch wypukłych, jak bizantyjskie kule, garbach, spoczywała ostra czaszka o długiej, płaskiej twarzy. Cienkie usta przecinały tę twarz w połowie, upodabniając ją do głowy olbrzymiego jaszczura. Chude ręce, jak dwa długie kije, sięgały niżej kolan. Jedynie piękne, marzycielskie oczy mogły niweczyć odrazę do tak potwornej twarzy.

Garbus stał chwilę bezradny, z żalem patrzył na szlochającego. W wyrazistych oczach malował się ból, a twarz wykrzywiła się strasznym grymasem, który oznaczać miał współczucie. Garbus opanował się wreszcie i słabym głosem mówił:

— Panowie! Jesteśmy znów świadkami strasznej tragedji ludzkiej. Po Łebiediewie, poszedł Szumski, potem brat jego Siergiej, potem Rybkoń, potem Kniagin, Strielkow i jego siostra, a teraz Browkin. Możliwe, że w tym żalobnym spisie przepuściłem nazwisko niejednego, który do niedawna siedział tu jeszcze z nami, a potem zwiększył statystykę krwawych wyroków Gupa.

— Nie wiem, może mój umysł za słaby i spraw tych rozsądzać nie może, ale zdaje mi się, że tak, jak nasza idea „Oswobodzenia“ jest potężna, tak złymi sposobami wprowadzamy ją w życie. Cóż bowiem znaczy ta nasza walka z śmiertelnym wrogiem, gdy my tylko ponosimy same krwawe straty, wysyłamy naszych najlepszych braci na śmierć, a wróg nie ponosi żadnych strat i w cynicznym uśmiechu szczyrzy do nas zęby.

„W nocy, gdy zgaszę lampę i przymknę powieki, śnię, a może widzę, że ściany mego pokoju rozsuwają się z błyskawiczną szybkością. W cieniach nocy tworzy się nagle przedemną wielka przestrzeń. Patrzę i widzę białe, szczerbate mury Kremla — ja stoje oparty o ściany Targowych Riadów...

Garbus mówił długo i namiętnie. Oddech jego stawał się coraz bardziej niespokojny, słowa padały szybciej, niż zdążyły je wyrzucić jego małe płuca.

Nagle zakaszłał. Paroksyzm stawał się coraz silniejszy, coraz mocniej wstrząsał dwoma garbami, oczy zachodziły mu mgłą, z ust spływało mu wąskie pasemko śliny.

Podano mu krzesło. Padł na nie bezwładny i wił się dalej w paroksyzmie coraz silniejszego kaszlu. W pokoju panowała cisza, przerywana tylko kaszlem suchotnika i skwierczeniem węgla w kipiącym samowarze.

Jakaś młoda dziewczyna zerwała się z ławki, zręcznie przesunęła się między krzesłami i wbiegła do kuchni. Za chwilę przyniosła szklanek wody, przytknęła ją do ust garbusa.

— Pijcie, inżynierze Gałkin, — szepnęła z współczuciem.

— Dziękuję, bardzo dziękuję Tatjano Iwanowo, — szeptał z wdzięcznością.

Uspakajał się coraz bardziej, coraz lepiej chwycił powietrze, wreszcie uspokoił się zupełnie. Otarł pot z czoła i mówił dalej:

— Tak, jak wówczas, jak przed siedmiu laty wołałem: Zostańmy w kraju, tak dziś wołam: wracajmy wszyscy razem tam, skąd niegodnie uciekliśmy. Amnestja, którą obecnie ogłosił rząd Związku Republik Sowieckich, powinna być generalnem hasłem naszego powrotu.

Gałkin dłuższy czas nawoływał do powrotu, w końcu usiadł zmęczony. Niedawny atak kaszlu i długie przemówienie wyczerpało go zupełnie. Drżał na całym ciele, rąk i nóg nie mógł utrzymać w spokoju.

Wrażenie mowy było wielkie. Dławiąca tęsknota za krajem, ogłoszona amnestja, były tym błyskiem nadziei, który na chwilę pozwolił się ludzi emigrantom, że chwila powrotu jest bliska. Gałkim rozdmuchał iskrę nadziei do granic pewności. Wszyscy milczeli, błędząc myślami po swoim dalekim kraju.

Przewodniczący udzielił teraz głosu kilku zebranych, potem zastanawiano się nad szczegółami misji Browkina. Uchwalono zgodnie, że nieudała misję



musi ktoś znowu podjąć. Zgłosił się dobrowolnie brat aresztowanego Alosza. Desperacka kandydatura nie została jednak przyjęta, postanowiono sprawę odłożyć do następnego zebrania. Tymczasem rozstawione na ulicy straże meldowały bliski świt.

Przewodniczący zamknął zebranie. Wychodzono oddzielnie lub w małych grupkach, każdy zdeprymowany z pochyloną głową.

Pierwszy wyszedł inżynier Gałkin, w kilka minut po nim podążyła Tatjana Iwanowna Szulgin. Na ulicy zrównali się. Młoda dziewczyna podeszła do staniającego się z osłabienia garbusa.

— Nie jesteście zdrów, może oprzecie się na mojem ramieniu?

— Dziękuję. Już drugi raz przyjmuję pani pomoc — odpowiedział cicho garbus — i jak bezradne dziecko pozwolił się chwycić pod ramię i prowadzić przez ulicę.

Długo szli w milczeniu, wreszcie Gałkin zaczął zalić się cichym głosem:

— Widzi pani spieszę się do kraju, bo czuję, że niedługo już nogami mierzyć będę ziemię.

Tatjana Iwanowna schyliła głowę, jakby jej zbyt ciężła i mocniej chwyciła towarzysza pod ramię.

Dochodzili właśnie do dworca Gdańskiego. Nocny tramwaj odjeżdżał w kierunku Warszawy. Przy pomocy swej towarzyszki wsiadł Gałkin do wozu, ona skierowała się na Stalową. Gdy jasno oświetlony wóz ją wymijał, usłyszała jeszcze głos Gałkina z platformy:

— A jutro będzie pani w cukierence na Wilczej!

— Będę o czwartej, — odpowiedziała donośnie, by zagłuszyć uderzenie kół o szyny.

## ROZDZIAŁ I.

## Morderstwo.

Upał uliczny dochodził do najwyższego napięcia. Słońce nagrzewało mury kamienic, płyty chodników i asfalt jezdni, które, jak olbrzymie radjatory wydzielają ze siebie niemożliwe do zniesienia gorąco. Nawet na najruchliwszych ulicach Warszawy ruch słabnął, ludzie chowali się do mieszkań, cukierń i restauracji. Dorożkarze, których obowiązek trzymał na rozpalonych ulicach, szukali schronienia pod podniesionymi budami wehikułów. Ani jedna chmurka nie dawała nadziei, że żar ustanie, a deszcz ochłodzi nagrzane powietrze.

W tym zalewie promieni słonecznych biegł od strony ulicy Chmielnej jakiś starszy, ubogo ubrany człowiek. Co chwila przystawał, chwycił w zmęczone płuca gorące powietrze, ocierał pot z czoła, a po chwili biegł dalej z jeszcze większą energją. Rzadcy w tym miejscu przechodnie patrzyli ze zdziwieniem, nie mogąc zrozumieć, że w taką kanikułę może ktoś do czegoś się spieszyć.

Na roku Szpitalnej człowiek ów przystanął, jakby namyślając się nad czemś, a potem wolniejszym już krokiem powlókł się do domu, w którym mieścił się komisariat policji.

W ciasnym pokoju inspekcyjnym, mimo zapuszczonych żaluzji, panowała trudna do zniesienia duszność. Ciepłe powietrze zdawało się usypiać nie tylko urzędników, ale nawet muchy, które senne i ociężałe rezygnowały ze zwykłej natarczywości i przyklepione do brudnych ścian i sprzętów, drzemały.

Na twarzy przybyłego, znać było wielkie zdenerwowanie. Co chwila chrząkał, ocierał pot z czerwonej, jak burak twarzy. Po dłuższej dopiero chwili zauważono go w komisarjacie.

— Z czem? — spytał szorstko urzędnik policyjny.

— Ja tu w bardzo ważnej sprawie i tylko do pana komisarza... — z akcentem mazurskim odpowiedział przybyły.

— Czy nie za wysoko idziecie ze sprawą? — zadrwił urzędnik.

— Nie po dówcipy przyszedłem... Proszę mnie zameldować — odpowiedział przybyły, ścierając ostannie krople potu z blednącej nieco twarzy.

Urzędnik wstał ociężale z krzesła, przeszedł do drugiego pokoju, aby zameldować klienta. Meldowanie musiało trwać długo, bo niezajomy czekał sporą chwilę, zanim dopuszczono go przed oblicze dygnitarza.

W gabinecie przybysz stracił dawny impet i energję. Stał chwilę, nie mogąc się zdobyć na wykrztuszenie celu swej wizyty, przestępował tylko z nogi na nogę, choć pot już dawno wsiąkł w jego brudne, dawno nieczesane włosy.

— No z czem tak ważnem? — huknął komisarz policji.

— Panie komisarzu, wielkie nieszczęście spotkało kamienicę, w której jestem stróżem. Pan komisarz już wie, tam na Chmielnej... już dwadzieścia lat pilnuję domu i takiego nieszczęścia nie było nawet za Moskala...

— Co za nieszczęście? Mówcie odrazu, bo nie mam czasu — bronił się komisarz przed zbyt długim wstępem opowiadania.

— Stało się wielkie nieszczęście. Ktoś zamordował lokatora w hotelu Mincerowej.

— Zamordował?

— Zamordował panie komisarzu. Nie wiem kiedy ukreśli mu kark, wczoraj, czy dziś rano, dość, że zamordowali człowieka. Krwi w pokoju tyle, że jeszcze czerwono mi przed oczyma...

— Kiedy zauważyliście morderstwo?

— A dopiero co zobaczyłem i duchem tu biegłem,



a ciągle mi się zdawało, że zamordowany za mną goni...

— Nie opowiadajcie głupstw, tylko mówcie krótko, co widzieliście.

— Ano mieszkał w Mincerowej jeden Moskał, co to niby od bolszewików uciekł. Biedny był jak szeszur z placu Grzybowskiego, tak, że usługiwałem mu, a zysku to żadnego nie miałem... Wstawał zawsze późno, coś około jedenastej, i dawał co dnia złotówkę. Za nią kupowałem mu bułki na Brackiej i mleko przynosiłem z Nadświdrzańskiej. Dziś o jedynastej leczę do niego na piątę piętro po złotówkę. Mija mnie jakiś młody facet. Oczy ma takie, jakby czort wie czego się przestraszył. Pędzi, jakby go kto batem poganiał, mało, że mnie na schodach nie przewrócił. Widzę, że ucieka, tak myślałem, że pewnie u Mincerowej z dziewczętami miał jakieś nieprzyjemności, — pan komisarz już wie... Ale słucham, — wszędzie cicho, żadnej kłótni, dziewczęta pewnie śpią. Idę na korytarz do tego Moskala, otworzyłem drzwi, a tu story spuszczone i ciemno jeszcze w pokoju, ledwie krok zrobiłem, nastąpiłem butem na coś twardego na ziemi. Patrzę: mój Moskał leży na podłodze brzuchem do ziemi, a głowę przyłożył tak do podłogi, jakby czegoś tam słuchał... Widzę: jakieś papiery porozrzucane na podłodze i na stole, wszędzie dużo krwi, a stół w pokoju tak dziwnie otwarty, blatem jakoś do góry... Pędem biegłem na komisariat, a ciągle zdawało mi się, że Moskał zerwał się z ziemi i pędzi za mną po ulicy...

— Czy mówiliście już komuś o morderstwie?

— Nie, nikomu.

Komisarz policji wyczuł, że chaotyczny mózg tego człowieka nie jest zdolny do logicznego powiązania faktów — zaprzestał więc dalszych pytań, wiedząc z góry, że niczego więcej już się nie dowie. Postanowił natychmiast udać się na miejsce zbrodni. Wstał więc od biurka, podszedł do telefonu, połączył się z ekspozyturą śledczą przy Daniłowiczowskiej, donosząc o tragicznym wypadku.

Po upływie kilkunastu minut, policyjne auto zatrzymało się przed domem przy ulicy Chmielnej.

Po zniszczonych, skrzypiących schodach, przedostała się policja na piąte piętro. W długim, ciemnym korytarzu paliła się lampka gazowa o tak zniszczonej siatce, że zaledwie oświetlała kontury drzwi rozmieszczonych systemem hotelowym. Na końcu korytarza stała grupka ludzi, jakaś potwornie gruba żydówka w bardzo kokieteryjnym, ale niemniej brudnym szlafroku, dwie mocno roznegliżowane młode kobiety i wysoki drab o nabrzęklej fizjonomji alkoholika. Wszyscy patrzyli przez szparę uchylonych drzwi do wnętrza pokoju, robiąc przyciszonym głosem uwagi.

Na widok policji, grupka rozstała się, robiąc przejście władzy bezpieczeństwa.

— Ach więc to w umeblowanych pokojach pani Mincerowej popełniono morderstwo... — zauważył z przekąsem komisarz policji.

Otyła żydówka w kokieteryjnym szlafroku drgnęła, jak pod dotknięciem prądu elektrycznego i wysuwając się na czoło grupy, zaczęła w jakimś mieszanym polsko-rosyjskim języku tłumaczyć:

— Tak jest, panie kamisarzu. U mnie mieszkał ten zawołoka. Czy pan myśli, że coś płacił? Sześć miesięcy od tego łobuza grosza nie widziałam, a teraz jeszcze taki skandał zrobił na całą Warszawę. I to wszystko za moją litość i dobre serce. Mogłam dawno jak psa wyrzucić. Źle zrobiłam i teraz mam policję w moim porządnym hotelu...

Komisarz policji rozglądał się ciekawie w koło, jakby badał rozkład mieszkania.

— Czy wszyscy lokatorowie hotelu są w domu? — spytał.

— Co znaczy wszyscy? — pytała niby nierozumiejąc żydówka. Ma się rozumieć, że są wszyscy i wskazując na stłoczoną grupkę, mówiła: — „Te wszystkie państwo mieszkają u mnie“.

— Ile tu jest pokoi i kto je zajmuje?

— Dwa i kuchnię ja zajmuję, jako gospodyni,

dwa te panienki, jeden zajmuje pan Gwoździk, a ten łajdak Gałkin, ten brodiaga zajmował ten tu pokój.

— Czy do pokoju zamordowanego prowadzi jedno tylko wejście?

— Tak, jedno — odpowiedziała z jakimś dziwnym wahaniem żydówka.

— No dobrze, a teraz nie wolno nikomu wydalać się, aż na to zezwolę — ostrym tonem rzucił komisarz.

Dwu posterunkowych stanęło u wejścia do korytarza, odcinając lokatorów hotelu pani Mincerowej od reszty domu. Komisarz Borewicz pchnął brudne, białe drzwi, prowadzące do pokoju zamordowanego. Dwu wywiadowców weszło z nim do wnętrza.

W dużym pokoju, wyklejonym krzyczącymi, podartymi tapetami, przez które przeglądał odrapany tynk i cegły, leżał trup jakiegoś potwornego człowieka. Zwłoki leżały tak blisko progu, że policja musiała przez nie przekroczyć.

Okna pokoju zasłonięte były podartymi żaluzjami. W zmroku zaledwie można było odróżnić kontury poszczególnych, rozstawionych przedmiotów. Komisarz polecił jednemu z wywiadowców, podnieść żaluzje. Poplątane i zawężone sznurki, utrudniały jednak długo wykonanie polecenia. Po mozolnej pracy, udało się wreszcie wpuścić do pokoju snop światła dziennego. Teraz dopiero, w świetle dnia, zwłoki zamordowanego wystąpiły w całej swojej potworności.

Na lepkiej od brudu i krwi podłodze, leżał mały garbus z rozkrzyżowanymi rękami, jakby pełzał po ziemi. Głowa odwrócona była w bok. Zamordowany patrzył z jakimś przerażeniem szklannymi oczyma w kąt pokoju. Tył głowy był zmiądzony uderzeniami twardego przedmiotu. Na włosach silnie zlepionych krwią, znaczyły się białe cząsteczki mózgu. Krew spływała jeszcze ciągle z głowy, sączyła się błyszczącymi pasemkami po bladej, dużej twarzy, tworząc na ziemi obfitą kałużę. Przez szerokie, otwarte usta przeglądały anemiczne dżiąsła, z któ-

rych wychodziły żółte zęby o odsłoniętych sztyjkach. Mogło się zdawać, że garbus szczyrzy zęby do niewidzialnego przeciwnika. Chude palce zamordowanego zaciskały jakiś zwój pomiętych papierów tak kurczowo, jakby właśnie o te papiery toczyła się straszna walka, którą garbus przypłacił życiem.

Obok zwłok, na małym stoliku, stały dwie brudne szklanki z niedopitą herbatą. Zdaje się, że garbus przed śmiercią gościł swego mordercę. Tuż obok stolika stał duży fotel pluszowy o silnie zniszczonych sprężynach. Na środku pokoju stał stół bardzo dziwacznej budowy. Powierzchnia tego stołu otwierała się na ukrytych zawiasach, jak wieko długiego fortepianu, tworząc z drugą powierzchnią stołu wielką, a płytką szufladę, szczelnie wypełnioną papierami. Na papierach znaczyły się krople rozprysłej krwi. Widocznie obok tego stołu garbus otrzymał śmiertelne uderzenie. W rogu pokoju naprzeciw drzwi wchodowych stało łóżko, raczej rozesłany barłóg o brudnej pościeli.

Komisarz Borewicz pochylił się nad zwłokami.

— No, ale tego uraczono go w głowę — powiedział, przyglądając się ranie.

— Chyba młotkiem rozłupano mu czaszkę — poddał jeden z wywiadowców.

— Ciekawe, co za papiery trzyma tak mocno w ręce, jakby jakiś skarb?

Wywiadowca chwycił rękę zabitego, próbując wyjąć z niej zwój papierów. Długie, chude palce stawiały jednak tak silny opór, jak stalowe kleszcze. Palce roztworzono sztabką żelazną, a plik zwiniętych papierów upadł wreszcie na ziemię. Były to długie, wąskie taśmy papieru, pokryte drobną szyfrą, które niezwykle cierpliwa ręka znaczyła, jak miniatury alfabet Morsego. Nagle ze zwitku papieru wysunął się przedarty, długi banknot studolarowy, i z szelestem upadł na podłogę.

— Bogaty musiał być chłop, skoro tak dał dolary — zauważył cynicznie jeden z wywiadowców.

i sam tylko roześmiał się ze swego brutalnego dowcipu.

Po dokładnem obejrzeniu zwłok i przeszukaniu kieszeni, w których nic nie znaleziono, policja przystąpiła do dokładnego badania pokoju. Ściany nie wykazywały nic podejrzanego, tak, że zamierzano już zaniechać tych badań, gdy nagle jeden z wywiadowców zauważył.

— Panie komisarzu, ta gruba żydówka mówiła, że do pokoju jest tylko jedno wejście, a tu przecież są jakieś drzwi tapetowe...

Rzeczywiście w brudnych tapetach znaczył się regularny kwadrat małych, wąskich drzwi. Drzwi te były zamknięte. Klucza przy nich nie było.

Zawołano Mincerową. Komisarz policji podniesionym głosem zwrócił uwagę:

— Twierdziła pani, że do tego pokoju prowadzi tylko jedno wejście, a widzę, że przez drzwi tapetowe równie dobrze można było wejść do pokoju zamordowanego. Niedobrze okłamywać policję...

Ostry ton głosu komisarza skonsternował otyłą kobietę. Zaczęła tłumaczyć się:

— Panie komisarzu, naprawdę zapomniałam o tych drzwiach. Nigdy do tego mieszkania nie wchodziłam. Chyba dwa lata tu nie byłam...

— Może pani powie, gdzie klucz od tych drzwi?

— Klucza nie było. Nawet gdy wynajmowałam mieszkanie.. Nie był mi zresztą potrzebny, bo wynajmowałam każdy pokój oddzielnie...

— Gdzie te drzwi prowadzą.

— Do pokoju jednej z panienek...

Borewicz pokiwał głową jakby powątpiewał w prawdziwość zeznań Mincerowej. Następnie kazał wywiadowcy otworzyć drzwi wytrychem. Stary, zardzewiały zamek stawiał silny opór, wytrych ze zgrzytem zaczął o sprężynę, jednak zasuwa nie puszczała.

— Zamek jest strasznie zardzewiały i zepsuty, nie wiem czy zdołam go odkręcić — zauważył wywiadowca, ocierając pot z czoła.



Narazie niech pan zaniecha tej pracy, a zrobi zdjęcie daktyloskopijne. Ja tymczasem przejrzę papiery, rozrzucone po podłodze — rozkazał komisarz Borewicz.

Przetrzęsnięto każdy schowek, każdą szufladę, przeszukano nawet dziury w tapetach.

Okolo godziny czwartej przybyła na miejsce komisja sądowo-lekarska.

Był już późny wieczór, gdy policja i sędzia śledczy ukończyli badania i przeciskali się w bramie przez tłum ciekawych, którzy na wiadomość o morderstwie, oblegali do późnej nocy dom przy ulicy Chmielnej.

## ROZDZIAŁ II.

### Silne rozdźwięki.

Premjera w teatrze przeciągała się do nieskończoności. Przed budynkiem teatru stał długi wąż dorożek, czekając niecierpliwie na koniec przedstawienia. Oświetlona tarcza zegara ratuszowego wskazywała już północ, gdy wreszcie przed wejściem zapaliły się mleczne kule lamp łukowych i służba teatralna z pośpiechem otworzyła podwójne skrzydła bramy. Za chwilę wysypały się rzadkie grupki szczęśliwców, którzy pierwsi zdołali docisnąć się do garderoby. W kilka minut za nimi ruszyła szeroka masa ludzka, zatrzymywała się na chodnikach, rozdzielając się po chwili na długie, wąskie pasemka, odpływające w różne strony miasta. Trzeszczenie motorów, ryk syren automobilowych, nawoływania dorożkarzy, górowały nad gwarem śmiechu i rozmów ludzkich.

Mimo skwaru lipcowego, który zdołał wygnąć już znaczną ilość mieszkańców Warszawy na letniska, na dzisiejszej premjerze był komplet. Nazwisko Juljana Saji, młodego i modnego komedjopisarza, który iście z francuską finezją zlepił kolorowe baloniki dowcipnych dialogów, trafnych aforyzmów,



splatał sytuacje w najprzeróżniejsze i śmieszne węzły, by z niesłychaną łatwością potem je rozplątać, ściągnęły tłumy publiczności na widownię.

Roześmiane twarze wychodzącej publiczności świadczyły, że kilka godzin spędzonych w teatrze, musiały należeć do miłych. Ustna recenzja, ta najlepsza i najszybsza ze wszystkich, szła teraz razem z publicznością do miasta, aby jutro ustawić znów przed kasą teatralną długą kolejkę miłośników talentu Juljana Saji.

Gdy ostatnie grupki publiczności opuściły wnętrze teatru, zgasły u wejścia lampy, a potem, jak na komendę, gasły kandelabry uliczne, pograżając Plac Teatralny w coraz większych ciemnościach.

Dochodziła godzina pierwsza, gdy z bocznej bramy teatru wysunęło się dwoje ludzi: artystka Hanka Krzesz i jej przyjaciel młody, a już głośny dramaturg, Ludwik Karnicki. Szybko skierowali się na róg Trębackiej, gdzie oczekiwała ich czarna limuzyna, w której, jak w zwierciadle, przeglądały się jaskrawe światła reklam sal dancingowych. Znudzony przydługim oczekiwaniem szofer, wyskoczył z wozu, otworzył błyszczące drzwi samochodu. Za chwilę lekki warkot motoru unosił Krzeszównę i Karnickiego w kierunku Krakowskiego Przedmieścia.

Obydwoje milczeli długą chwilę. Przy wjeździe w Aleje Ujazdowskie, gdy limuzyna z wielką szybkością płynęła po wyszlifowanym asfalcie wśród alei lamp łukowych, Karnicki nachylił się do swej towarzyszki:

— Co powiesz o komedji Saji?

Krzeszówna, jakby niedosłyszała pytania, odwróciła głowę. Nie doczekawszy się odpowiedzi, zaczął nerwowo wygwizdywać melodje jakiegoś schimny. Po chwili odezwał się rozdrażniony:

— Widzę, że humor dziś ci znowu nie dopisuje. Prawdopodobnie postanowiłaś dalej grać na moich nerwach. Przynajmniej dziś mogłabyś mnie oszczędzić...

Nie odpowiedziała, z jakimś niesmakiem skrzywiła drobne, silnie wykarminowane usta.

Szofer zwolnił pęd, wjechał na nierówny bruk Nowowiejskiej, następnie ostrym łukiem skręcił w Natolińską i cicho zatrzymał wóz przed nową kamienicą.

Krzeszówna zręcznie przeskoczyła stopnie samochodu, nacisnęła dzwonek bramy. Zanim jej towarzysz zdążył dać polecenia szoferowi na dzień jutrzejszy, stróż oświetlił bramę i klatkę schodową. Weszli do mieszkania. Zbudzona turkotem motoru pokojówki, oczekiwała ich w przedpokoju. Usłużnie zdjęła ze swej pani wieczorowy płaszcz. Obcisła brokatowa toaleta uwydatniała doskonale piękne kształty młodej artystki. Czarno-złoty jedwab, jak drogocenna, mieniąca się masa, oblepiał jej smukłą postać. Wolnym krokiem skierowała się do swego buduaru, polecając pokojówce, by oświetliła jadalnię.

Karnicki z pasją zawiesił kapelusz i zarzutkę, dogonił w drzwiach swoją przyjaciółkę.

— Przepraszam cię Haneczko, ale dziś nie będę jadł kolacji. Dokucza mi silna migrena, pragnę odpocząć...

Zmierzyła go niechętnym spojrzeniem, przybierając ironiczny ton, odpowiedziała:

— Doprawdy, ile razy pragnę z tobą pomówić, zawsze dostajesz migreny. Obawiam się, że unikasz rozmowy, wolisz widocznie niejasne sytuacje.. Radzę ci jednak nie odwlekać...

— Ale o czym o tak późnej godzinie chcesz ze mną mówić? — spytał, a w oczach jego odbił się lęk.

Młoda kobieta wytrzymała spojrzenie i przerwała szorstko:

— Zaczekaj w jadalni, przebiorę suknię i przyjdę. Niewątpliwie spełnisz moją prośbę...

Karnicki z rezygnacją wszedł do jadalni. Usiadł w fotelu, a dla skrócenia czasu zapalił papierosa. Chwile oczekiwania musiały mu się jednak wydać przydługie, bo po chwili wstał, przemierzał miar-

wym krokiem pokój i spoglądał nerwowo na złotą tarczę zegara. Upłynął kwadrans, Krzeszówna nie przychodziła. Karnicki przystawał przed każdym obrazem, badając raczej szczelność ram, niż płótna, poprawiał krzesła przed okrągłym stołem, na którym służba ustawiła zimne zakąski. Wreszcie cierpliwość opuściła go zupełnie. Z pasją nacisnął guzik dzwonka elektrycznego. Weszła pokojówka.

— Proszę przypomnieć pani, że kazała mi czekać w jadalni, — rzucił szorstko.

— Pokojówka wysunęła się z pokoju.

Upłynęła spora chwila, zanim Krzeszówna ukazała się w pogru.

Brokatową suknię zastąpiła lila-jedwabnym szlafrocikiem, który odcinał się piękną jasną plamą od ciemnych fornirow jadalni. Krótko ucięte włosy zdawały się umniejszać owal jej drobnej twarzy.

Szybkim krokiem podszedł do przyjaciółki, aby uczynić jej gorzką wymówkę za tak długie oczekiwanie. Upредиła go prośbą:

— Zamiast wymówek, przyćmij pajak. Jedna żarówka wystarczy, gdy cierpisz na migrenę, a zresztą i względy oszczędnościowe powinny w obecnym twojem położeniu odgrywać rolę...

— Cóż to znów znaczy? — zachnął się, a ręka, którą sięgał do tastra, zawisła w powietrzu.

— Wiesz, że tydzień już chodzi z rachunkiem za światło i dziś rano oświadczył służącej, że jeśli rachunek elektrowni nie zostanie wyrównany, to zamkną prąd. Jestem troskliwa o twoją migrenę i o... kieszeń.

— Dlaczego wcześniej nie powiedziałaś mi o tem?

— Uważałam, że rachunek za prąd może być dla mnie doskonałym wstępem do naszej ostatecznej rozmowy, przed którą od tygodnia uciekasz. Na szczęście, twoje zachowanie za kulisami wobec Saji i moich kolegów przyśpiesza rozmowę, którą odkładałam aż do dnia dzisiejszego...

— Moje zachowanie wobec Saji? Wpadasz w przesadę...

— Pomówimy o tem po kolacji, nie chcę teraz psuć twego przysłowiowo dobrego apetytu.

Karnicki przekreślił taster. Olbrzymi pajak zgasł, jedna tylko żarówka rzucała z pod kolorowego abażuru snop światła na biały obrus. Reszta pokoju tonęła w miłym, łagodnym mroku. W milczeniu usiedli do kolacji.

Przysłowiowy apetyt niedopisywał widocznie Karnickiemu; nalewał tylko jeden kieliszek koniaku po drugim, przelykał go chciwie, nie tykając zakąski. Nastrój kolacji psuło deprymujące milczenie. Tylko on rzucał od czasu do czasu niespokojny wzrok na swą towarzyszkę, jakby pragnął z jej zielonych źrenic naprzód odgadnąć, do jakiego napięcia doprowadzi dzisiejszą rozmowę. O czem będzie Krzeszówna mówiła — wiedział doskonale.

Oczy młodej artystki błdziły jednak obojętnie po powierzchni obrusa i po kryształowej zastawie, nie pozwalając absolutnie nic w nich wyczytać.

Pokojówka podpaliła maszynkę z czarną kawą i weszła z pokoju.

Teraz Krzeszówna wstała od stołu, usiadła w wygodnym fotelu. Wyjęła ze srebrnego pudelka papierosa, zaciągnęła się i patrząc w kłęby unoszącego się nad jej głową dymu, mówiła:

— Proszę cię Ludwiku, posłuchaj cierpliwie, co chcę powiedzieć. Mówiłeś przed chwilą w aucie, że masz dość moich kaprysów i chimer, że zniszczyłam ci nerwy...

— Nigdy tego nie mówiłem — przerwał niecierpliwie.

— Może dosłownie tak nie powiedziałeś, ale zmierzałeś do tego. Przyznaj się, bądź odważniejszy... Mam przykre chimery i wbrew swej woli, szarpie twoimi nerwami, ale to drobnostka. Dla ciebie najważniejsze, że ja mam wielkie potrzeby i jestem zbyt kosztowną na twoją kieszeń przyjaciółka...

— Co ten wstęp ma znaczyć? — przerwał, a głos jego zdradzał lęk.

— Zaraz zrozumiesz, jeśli chwilę posłuchasz cierpliwie. Otóż widząc wszystkie swoje wady i twoje obecne rozpaczliwe finanse, proponuję ci otwarcie: rozstańmy się jaknajprędzej i to w zgodzie, jak przyjaciele, abyśmy nie byli przedmiotem przykrych kpin i złośliwości ludzkiej.

Zerwał się z fotelu, patrzył ze zdziwieniem na przyjaciółkę, głos zaczął się rwać w jego krtani:

— Jakto, chcesz zerwać to, co niedawno nazywałaś miłością?

— Chcę.

Zatoczył się, jak pod uderzeniem obucha. Patrzył osłupiałym wzrokiem, nie mógł zrozumieć co powiedziała, wreszcie opanował się na chwilę.

— Więc masz perspektywę czegoś lepszego, jak pozycie ze mną?...

— Możliwe...

Lakoniczne odpowiedzi przyjaciółki wytrąciły go z równowagi. Przyciskał rękami skronie, jakby chciał się zbudzić z przykrego snu, odgonić koszmar. Z ust jego wybiegały monosylaby, chciał coś mówić i urywał...

W oczach Krzeszówny zatliły iskierki tryumfu. Czula swoją przewagę nad tym człowiekiem, rozumiała, że w żaden sposób nie potrafi się on pogodzić z myślą rozstania. To przekonanie sprawiło jej przyjemność, bała się jednak, aby oczyma tego nie zdradzić. Przysłoniła oczy zasłoną długich rzęs. Nagle uderzyła w ton sentymentalny:

— Zrozum Ludwiku, że proponuję rozstanie dla wspólnego dobra. Wiele przykrości wzięłam już na siebie. Nigdy nie prostuję opinii, że to ja odbieram ci talent. Wierzę, że po rozstaniu się ze mną, wzmożnisz osłabione nerwy i po długim czasie przerwy może zaczniesz nawet coś tworzyć... Teraz gonisz ostatkami, wydajesz ostatnie grosze, które nadsyłają ci jeszcze teatry z zapadłej prowincji...

— Napiszę sztukę — szepnął nieśmiało.

Pani Hanka roześmiała się nieszczerze.

— Ty napiszesz sztukę? Przypuszczam, że kpisz

ze mnie. Czy sądzisz, że nie widzę, jak beznadziejnie uganiaasz się za tematem, jak po nocach zapisujesz jakieś świstki, które rano widzę w koszu?...

— To nieprawda!

— Ludwiku!.. nie oszukuj sam siebie... Ty nie już nie napiszesz. O tem dobrze wiesz ty i ja, która od dwóch lat pod jednym z tobą mieszkam dachem, wiedzą nawet wszyscy na ulicy, skoro obdarzają cię miłą nazwą: „młody literat na emeryturze“...

Ostatnie słowa podziałały na Karnickiego, jak mocne uderzenie po twarzy. Zbladł, skurczył się w sobie, jakby się prężył do skoku. Zacisnął pięście, zdawało się, że chce pomścić bolesną zniewagę, w oczach grały mu niesamowite blaski.

— Jak mnie nazywają?? Powtórz! — krzyknął, a z jego krtani wydobywał się groźny świst.

Pani Hanka wytrzymała piorunujący wzrok, patrzyła długą chwilę prosto w jego oczy, jakby ujarzmiała dzikie zwierzę. Próbowali siły swego spojrzenia. Krzeszówna zdawała się zwyciężać, bo powoli, akcentując głośno każdą zgłoskę powtórzyła bez trwogi:

— Nazywają cię „literatem na emeryturze!“

— Kto?

— Wszyscy twoi przyjaciele, nawet Saja, któremu tak przyjacielsko ścisnąłeś dłoń za kulisami.

— Kłamiesz!

— Mówię prawdę!

Padł złamany w fotel, przysłonił twarz ręką, palce drgały mu nerwowo, jakby przechodził przez nie prąd elektryczny. Z piersi wydobył się stłumiony jęk:

— Saja...

— Tak, Saja — odpowiedziała spokojnie.

Patrzyła na przyjaciela, badała do jakiego stopnia człowiek ten da się złamać. Widząc, że ukrył twarz w dłoniach, niekrępowała się teraz i jej małe wykarminowane usta rozchyliły się w lekkim uśmiechu. Oczy zdradzały tryumf. Po krótkiej pauzie przystąpiła znów do wiwisekcji:

— Teraz nareszcie zrozumiesz, dlaczego chcę zerwać nasz stosunek. Czy sądzisz, że obdarzony tak miłym tytułem, masz jeszcze jakieś wpływy w teatrze? Cały rok przy obsadzie ról jestem stale wypierana... Stanisław, który stoi w bramie ma większy wpływ od ciebie. Cały rok znoszę afronty, których ty nie widzisz. Czy wiesz, że wszyscy przebąkują w teatrze, że w następnym sezonie będę grać... na Pradze? Powiedziałeś, że zapewniałam cię o swej miłości. Tak, to prawda... ale kiedy to było? Wtedy, kiedy kochałam twój talent, imponowałeś mi bystrym umysłem, a dziś? Czy żądasz odemnie, abym kochała bryłę mięsa, która skurezona siedzi obok mnie w fotelu?

Drżał na całym ciele. Pod wpływem jej zarzutów postać jego kurczyła się, jak ciało ślimaka pod ukłuciami szpilki. Nie bronił się ani słowem. Z piersi jego wydobywał się coraz szybszy oddech.

Krzeszówna mówiła dalej:

— Gdy przypomnę sobie dzisiejszą scenę za kulisami, ciebie i Saje, który z taką łaskawością i pobłażliwością pozwolił tobie ścisnąć swoją rękę... Czy widziałeś ironiczne uśmiechy wszystkich?

Z piersi Karnickiego wydobył się skowyt, jak u ranionego zwierza. Zaczął łkać żałośnie. Potem runął bezwładnie na dywan, uchwycił rękami jej stopy.

— Dość Hanko! — prosił.

Przez jedwabną pończochę uczuła na swej nodze łzy przyjaciela. Spazmatycznie całował jej stopy, tulił rozgorączkowaną twarz do śliskich jedwabnych pończoch. Coraz silniejszy atak płaczu rozszalał mu piersi.

Przez twarz artystki przebiegło coś jak litość. Opanowała się jednak szybko. Spytała zimno:

— Więc to jest wszystko, co mi odpowiesz na moją propozycję...

— Nie, Hanko!... nie — prosił, jak rozekłane dziecko. — Ty nie odejdiesz odemnie, ja zginę, zmarnieję. Tylko z życiem razem mogę cię stracić.



Ulituj się Hanko! — szloch przerwał mu dalsze słowa.

Błysk litości zagrał znów na jej twarzy. Skupił się i zatrzymał w dużych oczach. Położyła rękę na jego głowie. Karnicki uchwycił skwapliwie tę rękę, całował dłoń i wypolerowane paznokcie.

— Nie, Hanko!... ty nie odejdziesz — łąkał ciągle. — Ja się podniosę. Ja będę tem, czem byłem. Tylko nie odchodź... Dwa lata żyłem tobą, wypełniałaś mi życie... Nie chciałem służyć nikomu prócz tobie, nawet sztuce... Teraz wezmę się do pracy. Mam temat, tak wielki i silny, że zadrzą ci, którzy przed tobą mnie szkalowali...

— Kłamiesz!

— Przysięgam, mówię prawdę... Tylko nie odchodź Hanko!...

Przez miękki jedwab całował jej kolana.

Pani Hanka chciała wstać. Ramionami oplótł ją wpół, weisnął głowę w fałdy jej szlafroka i ciągle jeszcze ze strachem powtarzał:

— Nie odchodź Hanko!... nie odchodź... Jutro powiem wszystko... Dziś nie mogę... Patrz jak jestem zgnębiony...

Pomogła mu wstać. Wstał pokornie jak dziecko, oczami pełnemi łez patrzył w jej twarz, jakby chciał czytać wyrok na siebie.

— Nie odejdziesz? — spytał cicho i trwożliwie.

— Do jutra nie.

Z wdzięczności chciał ją objąć wpół i przycisnąć do siebie. Wyślizgnęła się zręcznie z jego rąk.

— Nie Ludwiku, histerją i łzami nie załatwimy ważnej dla nas obojga sprawy. Godzę się, że do jutra odłożymy rozmowę... Teraz idę spać.

Dziękował jej oczyma. Potem zwiesił gowę i ciężkim krokiem wyszedł do swojego gabinetu.

Pani Hanka zgasiała światło w jadalni, przeszła do buduaru.

W pokoju uczył Karnicki dławiącą duszność. Otworzył okno, chciwie łykał chłodne powietrze nocny. Wolno zaczął się uspakajać. Wiedział, że nie za-

śnie. Resztką sił wyszedł na korytarz, zdjął z kołka kapelusz i zarzutkę i cicho, aby nie zbudzić służby odkręcił zatrzask i wyszedł na ulicę.

Spokój nocy przywracał mu przytomność. Lekki wiatr chłodził rozpaloną skórę na twarzy, wysuszał powieki. Nerwy przestały wibrować, jak drgające struny. Wolnym krokiem przeszedł Nowowiejską, przystanął na rogu Alei. Na skraju nieba od strony Belwederu widniało jasne pasmo światła, rozszerzało się coraz bardziej, jakby skupiało się do ataku przeciw ciemnościom. Z ogrodu Botanicznego dochodził nieśmiały świergot wcześniej zbudzonego ptaka, który oznajmiał braciom radosną nowinę bliskiej jutrzenki.

Dniało.

Karnicki przeraził się na myśl, że za godzinę słońce wyłoci dachy domów, zacznie wypędzać ludzi do ich codziennych zajęć. Za wszelką cenę chciał przedłużyć noc o kilka godzin. Zdawał sobie jasno sprawę, że słońce dnia nie utrzyma jego przyjaciółki w tym samym nastroju litości, w jakim ją pozostawił. Skierował się w stronę Belwederu. W miarę oddalania się od domu, myśli Karnickiego coraz lepiej wiązały się ze sobą, coraz jaśniej i lepiej rozumiał szczegóły nocnej rozmowy z Hanką. Zaczął już nawet chłodno rozumować. Zrozumiał, że Hanka wszczynając dzisiejszą rozmowę wprost go nienawidziła, dopiero gdy zobaczyła jego łzy, gdy usłyszała szloch, odczuła litość dla jego bezsilności.

— Czy rzeczywiście jestem bezsilny? — pytał sam siebie.

Na to pytanie nie znajdował na razie odpowiedzi.

Trzy lata tworzył, napisał szereg rzeczy, które krytyka przyjęła wprost z entuzjazmem. Posunięto się tak daleko, że twierdzono, iż po długim zastoju dopiero on pchnął polską sztukę dramatyczną na wyżyny. Tak — ale wtedy całych lat trzy kochał się w Hance. Wtedy nie ośmielał się marzyć o pięknej artystce, jako o swej przyjaciółce. Kochał cierpli-

wie, krył się ze swoją miłością, czasem tylko myślał o jej zdobyciu. Wiedział, że małe ma szanse podobania się. Nie był urodziwy. Jego wielka, chuda sylwetka o szybkich, nerwowych ruchach miała w sobie nawet coś śmiesznego. Nie mógł wobec niej odegrać roli Don Juana. Postanowił odgrywać rolę człowieka nieszczęśliwego. W bogatej fantazji tworzył obrazy tragicznych nieporozumień, wplatał w nie swoją osobę, lub wymyślał typy ludzi podłych, których on z nieuleczalnym optymizmem chciał przekształcić w ludzi szlachetnych. Fantazował nieszczęśliwą miłość do kobiety złej.

Z całą tą serją obrazów swej fantazji wchodził wieczorną godziną do jej zacisznego pokoju, siadał w miejscu, gdzie światło nie padało na jego twarz i opowiadał o rzekomych tragedjach swego życia. Czasem żalił się, jak dziecko. Młoda artystka pocieszała go wtedy, odwoływała od szaleńczych zamiarów, z którymi przed nią żonglował z udaną nonszalancją.

Aż przyszedł moment, gdy zatracił własny krytycyzm, fantazję zmieszał wtedy tak dalece z rzeczywistością, że zaczął się czuć człowiekiem nieszczęśliwym i w ciszy swego pokoju płakał sam nad sobą. W tych latach urojonych cierpień tworzył, tworzył rzeczy niepowszednie, nawet wielkie. Dyrekcje teatrów ubiegały się o prawo wystawiania jego sztuk. Wreszcie stał się wielkim. Dochody miał nadspodziewane.

Wreszcie przyszedł upragniony wieczór. Wieczór ten jakby rylcem utrwalił się w jego mózgu.

Była zima.

Artystka drzemała na szerokiej otomanie — obok niej leżały rozsypane kartki roli. Cicho wsunął się do pokoju. Usiadł u jej nóg, chłodne róże położył lekko na jej piersiach. Zapach kwiatów obudził artystkę z półsnu. Przycisnęła kwiaty do rozpалonych skroni.

Wtedy wyjawił jej swoje pragnienia: Chciałby wyrwać ją z pod wiszarów czarnych chmur, z ulic

pokrytych brudnym śniegiem, a przenieść ją tam, gdzie fale lazurowego morza w zatoce La Marsa rozbijają się w słońcu na tysiące kolorowych kropel, tam, gdzie na złotym piasku diun tworzy oaza barwną plamę.

Czy trudno przy jego zarobkach, które trwoni z kolegami w knajpach warszawskich, wybrać się teraz do Tunisu?

Pani Hanka nie odpowiedziała. Położyła miękkie, ciepłe palce na jego ręce. Długo trwali wtedy w dziwnym nastroju...

Gdy pierwsze promienie słońca czerwieńczyły dachy sąsiednich domów, zbudzili się z gorączkowego snu.

Wkrótce po tej nocy wyjechali, by przeżyć bajkę wśród zielonych palm Tunisu. Tam stworzył najpotężniejsze swoje dzieło.

Gdy powrócili do Warszawy, wynajął mieszkanie przy Natolińskiej. Zamieszkali w nim oboje. Od tej chwili żył z nią, wchłaniał ją zupełnie. Dwa lata, spędzone w wspólnym mieszkaniu uważał za najszczęśliwsze w swym życiu, — ale przestał fantazjować, był już sobą, przestał pisać, jakby miłość wypędzała z jego duszy i mózgu całą twórczość. O to powstawały między nimi najpierw drobne, potem coraz większe scysje. Ona w dalszej jego twórczości widziała swoje wielkie nadzieje — on próbował pisać, — ale nie szło.

— Zamilkłem, jak historyczny Pierre Vidal — zaśmiał się tak głośno, że aż oprzytomniał.

Spostrzegł, że zapędził się za daleko, mijał drogę Królewską i bezmyślnie kierował się do Wilanowa. Stał, otarł pot z czoła, który spływał kroplami, zatrzymywał się na jego gęstych brwiach, rozlewał się po rozgorączkowanych policzkach. Spojrzał na zegarek: dochodziła szósta. Zdjął palto, przewiesił je przez ramię, Zawrócił do miasta. Z krainy marzeń wracał do rzeczywistości.

— Co ja jej dziś powiem? — to pytanie, jak ostry gwóźdź wbijało się boleśnie w jego mózg.

Mijał Belweder, a odpowiedzi jeszcze nie znajdował.

Mimo wczesnej pory, ruch w mieście był już duży. Wozy z pieczywem i mlekiem wymijały się szybko, aby na czas zaprowiantować Warszawę. Przepelnione aż po stopnie wozy tramwajowe wiozły robotników w dół nad Wisłę. Służące biegly szybko po zakupy, aby odrobić szybkim krokiem przydługie minuty snu. W ten korowód ludzki wplatała się czasem jakaś nitka życia nocnego. Wóz z jarzyną nie mógł wyminąć dorożki, która wiozła mocno zmęczone towarzystwo z dancingu.

Karnicki przystanął chwilę na rogu Alei Ujazdowskich, by w blaskach rannego słońca obserwować wczesny ruch ulicy. Od świeżo polanych chodników wiał miły chłód, promienie słońca nie nasycaly jeszcze żarem. Spojrzał na niebo, — błękitu ciemnego jak farbka, nie psuła ani jedna chmurka. Nagle za plecami usłyszał dyszkant roznosiciela gazet:

— Kurjer! Kurjer! Bestjalskie morderstwo w hotelu Mincerowej!

Karnicki drgnął. Kupił gazetę. Na pierwszej kolumnie grubemi czcionkami, opisany był fakt zamordowania emigranta rosyjskiego. Z ogromną ciekawością czytał szczegóły tajemniczego morderstwa, potem wzruszył ramionami.

— Dziwne, dla kogo życie tego nędzarza mogło przedstawiać jakąś wartość? — szepnął sam do siebie.

Schował gazetę do kieszeni i skierował się wolnym krokiem na Natolińska, a w głowie jego kłębił się natłok dziwnych myśli.

### ROZDZIAŁ III.

#### Na martwym punkcie.

Prokurator Zabielski opracowywał przeciw spółce „Metallum“ akt oskarżenia. Struktura oskarżenia nie była łatwa. Cała plejada umów i kontraktów,

o których Zabielski zgóry wiedział, że są zmyślone — ale niestety fikcyjności ich nie mógł udowodnić; — typowa spółka handlowa, wykwitła na stanie półprawa, jaki ustalili się po wojnie. Zabielski wertował po raz dziesiąty ustawę, wyciągał z grubego foljału akt zeznania poszkodowanych, zastanawiał się nad każdym ich słowem. Praca była żmudna i niewdzięczna.

Jakby na złość temu wysiłkowi człowieka, wyrwał się ze snopu promieni sierpniowego słońca jakiś jeden wesoly promyk i igrał po twarzy prokuratora, drażniąc jego oczy. Zabielski wstał, otworzył okno, zapuścił ciężką żaluzję. Półmrok wypełnił gabinet. Prokurator znów pochylił się nad aktami, gdy woźny zaanonsował:

— Pan inspektor Sandberg.

— Proszę niech wejdzie.

Za chwilę wszedł do gabinetu niezwykle barczysty, niski człowiek, w mundurze inspektora policji. Szeroki, ciężko ciosany korpus spoczywał na krótkich, a tak silnych, jak pnie nogach, które dla oka tworzyły zbyt silne oparcie dla ciała.

— Pan prokurator jeszcze nie rozpoczął urlopu? — witając — spytał Sandberg.

— Niestety nie. Widzi pan ten stos akt w regałach... Po ukończonym śledztwie kilkanaście spraw czeka na akt oskarżenia. Za dużo ludzi jest na wolności...

— Pobytu na letniskach już im pan nie zepsuje, odpowiedział spokojnie Sandberg.

— Ale przygotuję niespodziankę karnawałową...

— Sale dancingowe są cały rok otwarte — skrzywił się z goryczą Sandberg i strzepnął pył na granatowym rękawie.

— Ale panie inspektorze! — rzucił nagle Zabielski, jakby przypomniał sobie coś ważnego. — Czy ani na krok nie ruszyła policja naprzód tej przekłętej sprawy Gałkina...

— Nie wiem dokładnie, bo sprawę tę prowadzi komisarz Borewicz. Sam jej się podjął. Ja zajmuję

się sprawą tylko pośrednio. Zdaje mi się jednak, że utknięto na martwym punkcie. Opowiadają, że po sprawie braci Skarskich, nie było jeszcze tak trudnej sprawy.

— Słyszałem, że po wypuszczeniu z aresztu Chomińskiej, Gwoździka, Mincerowej i kilku jeszcze emigrantów rosyjskich, policja zaniechała narazie śledztwa.

— To nie — ale zmarnowali dość dużo czasu na błądzenie po fałszywych ścieżkach. Mnie osobiście zawsze niepokoiły te chaotyczne aresztowania, jakie przeprowadzał Borewicz. Domyśliłem się, że nie ma on żadnego planu. W każdym razie ustalono, że Gałkin był szpiegiem bolszewickim i prowokatorem. Podobno był to człowiek niezwykle sprytny i zdolny. Całe urządzenie jego mieszkania dowodzi, że pod potworną głową mieszkał niezwykle móżg. Może pan sobie wyobrazić, panie prokuratorze, że Gałkin, aby nie wpaść zbyt w oczu i usnąć czujność ludzką, chodził w mundurze rosyjskiego urzędnika kolejowego, choć mundur ten był w strzępach, a od rządu sowieckiego pobierał olbrzymie sumy. Mincerowej kapał po kilkanaście złotych, stołował się w ostatnich garkuchniach, a kilka tysięcy dolarów znaleziono ukrytych w jego mieszkaniu. Czy nie nadzwyczajny aktor?

Tylko dzięki morderstwu, którego Gałkin oczywiście nie przewidywał, mogła policja wpaść na schowki w jego mieszkaniu. Zginął, zanim zdołał pozamykać sprytne kryjówki — w przeciwnym razie można było miesiące strawić na bezcelowem szukaniu. W pokoju hotelowym ustawił Gałkin dwa stoły z nieheblowanych desek sosnowych. Jeden stół był nakryty ceratą i służył mu za stół jadalny — drugi za biurko i przy tym prawdopodobnie zamordowano go. Wierzchy stołów, czyli tak zwane błaty, były kunsztownie urządzone, składały się z dwóch cienkich desek z próżnią wewnątrz nakształt płaskiej szuflady. Za naciśnięciem bocznej listewki, gwoździe odskakiwały i w ten sposób mo-

zna było dostać się do szuflady. Na zewnątrz obie deski upodobnione były do jednej grubej i nieheblowanej. Oprócz tego w nogach łóżka wywiercił otwory, które potem zatykał szczelnym, drewnianym kołkiem i raszplą niszczył ślady spojenia.

— Słyszałem, że wreszcie znaleźliście w papierach ślad kompromitujących go listów?

— Niestety nie. Gałkin do pisania listów używał nie tylko trudnej szyfry, ale i skombinowanego atramentu. Znaleźliśmy kilkanaście wąskich arkuszy czystego papieru, które były — moim zdaniem — zapisane niewidzialnym atramentem, tak zwanym „A“ atramentem. Były prawdopodobnie już gotowe do wysyłki i zawierały raport o ruchu tutejszej organizacji monarchistycznej. Gdy arkusze te pociągnięto chemicznym płynem, używanym u nas do wywołania szyfry, wówczas arkusz zaczął szybko ciemnieć, zwijać się w rulon, wreszcie rozpadać się na strzępy, jak przytknięty do ognia. Widocznie nasz „B“ płyn z jego „A“, tworzyły razem związek chemiczny żrącego kwasu, który niszczenie dokładnie niszczył masę papierową.

„A co gorsze, zamiast zrobić eksperyment z jednym arkuszem, zrobiono ze wszystkimi naraz, tak, że dziś marzyć nawet nie można, aby znalazły się te jego listy. Płyn „B“ do wywołania szyfr Gałkina, miał prawdopodobnie tylko odbiorca. A co ciekawsze, po kilkakrotnej skrzętnie prowadzonej rewizji, nie znaleziono w mieszkaniu zamordowanego ani jednego płynu, tak, że przypuszczam, iż przechowywał go u kogoś, albo do pisania jego systemem potrzeba było większych aparatów, które Gałkin bał się ustawiać w hotelu Mińcerowej“.

„Gdzie chodził — nie wiadomo. Z wszystkimi listami posyłał swego sąsiada znanego pijaka i sutenera Gwoździka. Gwoździk zeznał w policji, że Gałkin niejednokrotnie posyłał go z zapieczętowanymi listami do misji sowieckiej, tłumacząc, że składa podanie o jakieś odszkodowanie, albo prośbę o przyjęcie do służby kolejowej w Rosji. Za



przysługę Gwoździk otrzymywał flaszkę wódki. Gdy pokazaliśmy wywiadowcom fotografię zamordowanego, to zgodnie oświadczyli, że nigdy nie widzieli garbusa ani wchodzącego, ani wychodzącego z jakichkolwiek podejrzanych miejsc.

— Niesłychanie sprytny i szczwany człowiek — podkreślił z podziwem prokurator.

— Ale za to znaleźliśmy co innego. Korespondencję z Moskwy, którą Gałkin przechowywał u siebie. Nie spodziewał się widocznie tak szybkiej przeprowadzki na drugi świat. Mamy w rękach list podpisywany przez komisarza Falbera, datowany z Moskwy, w którym dziękują Gałkinowi za wskazówki przy schwytaniu dwóch oficerów byłej armji carskiej, którzy przedzierali się w jakiejś misji do Woroncowa. Potem mamy w rękach kilka instrukcji, polecających Gałkinowi wszczęcie agitacji wśród emigracji rosyjskiej w Warszawie za masowym powrotem do kraju. Pozorem dla tej agitacji miała być ogłoszona amnestja. Tej instrukcji trzymał się też Gałkin skrupulatnie i agitował wszędzie za powrotem. Tyle tylko wiadomo mi w sprawie Gałkina.

Sandberg wyjął srebrną papierošnicę, poczęstował prokuratora papierosem, potem sam zaciągnął się dymem i uśmiechając się, spytał Zabielskiego:

— Dobry tytoń?

Prokurator z zadowoleniem wypuścił smugę niebieskiego dymu z ust.

— Rzeczywiście znakomity — lepszy od naszego — odpowiedział z uznaniem.

— Nie przypuszcza nawet pan prokurator, że te papierosy mają coś wspólnego z zamordowaniem Gałkina. Jak to dziwnie, że sprzeczne sprawy mają często wspólny korzonek...

— Cóż mogą mieć wspólnego? — zaśmiał się Zabielski. — Chyba Gałkin w testamencie zapisał je panu...

— Niestety, testamentu nie zostawił. Są jednak ludzie, którzy niepokoją się właśnie tem. czy

zamordowany nie zostawił jakiegoś kłopotliwego spadku... Wczoraj n. p. spotkałem się z takim przypuszczalnym spadkobiercą w Krystalu. Ciągłe nalewał mi znakomitego St. Jullienna, wlepił mi setkę „Mesaksudi“, z których jednego ma pan prokurator właśnie w ustach. Oczywiście, że przytem gorliwie dopytywał się o losy śledztwa. Ot tak z ciekawości...

— I jak pan zaspokoił jego ciekawość?

— Powiedziałem mu, że Gałkina zamordowała jego... kochanka.

— A to pan zakpił z niego — zaśmiał się Zabielski.

— Dlaczego pan prokurator się śmieje? — spytał z poważnym zdziwieniem inspektor policji.

— Muszę się śmiać, bo przecież morderstwo ma czysto polityczny podkład. Przekonany jestem, że Gałkina uśmiercił ktoś ze związku monarchistycznego. Wykonano na nim poprostu wyrok partyjny...

— Zdanie pana prokuratora podziela zupełnie komisarz Borewicz, ciągle szuka między monarchistami młodego człowieka, który uciekał po schodach. Wziął sobie stróża do pomocy i biega z nim po całym mieście. Niestety, dotąd bezskutecznie.

— Więc pan twierdzi, że zbrodnia nie miała podkładu politycznego? — spytał Zabielski.

— Nic nie twierdę. Ja tylko ośmielam się zwrócić uwagę na to, że śledztwa nigdy nie powinno prowadzić się w jednym kierunku. Jeśli ktoś chce znaleźć mordercę, powinien go szukać wszędzie, nawet we własnym mieszkaniu. Skąd naprzykład pewność, że Gałkina nie zamordował stróż domu, obrabował go, a potem wszczął alarm? Dlaczego naprzykład mieli go zamordować monarchiści, a nie bolszewicy? Może właśnie im się sprzeniewierzył i oni wykonali wyrok partyjny? Dlaczego wykluczać, że zamordowała go kochanka?...

— Ależ panie, to był potwornie brzydki człowiek...

— Iii, nie tylko Apollo miał kochanki, mieli je i bogowie kulawi.

— Więc jakie jest pańskie w tej sprawie zdanie? — spytał prokurator, przyznając w duchu rację Sandbergowi.

— Nie mam żadnego wyrobionego zdania. Byłem wprawdzie zaraz po morderstwie w mieszkaniu Gałkina i zastanawiałem się nad zbrodnią, ale nie uważam za stosowne włączyć w drogę Borewiczowi, który rwał się do prowadzenia tej sprawy. Byłoby to nielojalnością koleżeńską. Sprawą mógłbym się wtedy zająć, gdyby albo Borewicz mnie o to prosił, albo, gdybym czuł, że Borewicz wszedł na niebezpieczne manowce. Wtedy uważałbym, że spełniam koleżeńską przysługę...

Teraz inspektor policji przeszedł do spraw urzędowych, które były właściwym celem jego wizyty w gabinecie prokuratora. Narady trwały długo.

Po konferencji Sandberg opuścił sąd i przez Miodową kierował się wolno ku Daniłowiczowskiej. Właśnie skręcał w Senatorską, gdy w tłumie przechodniów uderzyła go piękna twarz młodej kobiety w białym płaszczu obramowanym puszystym lisem.

— Uuu, ładna — szepnął Sandberg zachwycony i zawrócił szybko, starając się raz jeszcze zobaczyć tę piękną kobietę o dużych, czarnych oczach.

Młoda kobieta prześlizgiwała się zręcznie wśród przechodniów, tak, że inspektor swoimi szerokimi barami roztrącał niemiłosiernie ludzi, a ledwie za nią zdażył. Jeszcze trudniejsza była jego pogoń na Krakowskim Przedmieściu. Obawiał się, że biała sylwetka lada chwila może zniknąć mu z przed oczu. Na szczęście młoda kobieta zatrzymała się przed składem platerów B-ci Henneberg, obserwowała żardiniery. Sandberg zbliżył się do niej na kilka kroków. Młoda kobieta skręciła w Trębacką, Sandberg posuwał się za nią, dyskretnie obserwował jej zgrabne nogi i małe stopy, obcisnięte w białe zamszowe pantofelki.

-- Doprawdy, ładna — jeszcze raz powtórzył.  
Pani w białym płaszczu weszła do hotelu przy ul. Trębackiej.

Sandberg czekał długą chwilę na ulicy, aż stracił nadzieję, by wyszła. Wtedy zbliżył się do bramy, nacisnął guzik dzwonka. Za chwilę ukazał się portjer. Od niego dowiedział się, kim jest piękna nieznajoma.

## ROZDZIAŁ IV.

### Sąd nad Antychrystem.

Promienie jesiennego słońca uwolniły park Łazienkowski z rannej mgły i zaglądały ciekawie w wielkie okna renesansowego pałacyku. Lekki wiatr kołysał złote czuby drzew, najpierw je pieścił, a potem silnym podmuchał odrywał z nich złote liście, bawił się nimi, podbijając je w powietrzu, aż zniechęcony milkł, a liście opuszczały się z szelestem na mokrą ziemię, ścieląc na trawnikach i ścieżkach złoty dywan. Zasmucone temi psotami drzewa, patrzyły w spokojną toń stawu, żaląc się, że wiatr ogałaca je z królewskich ozdób. Ale wiatr nie zaprzestawał psoty, poruszał teraz zwierciadlaną taflę wody, gnając po niej drobne fale i nie pozwalał drzewom patrzeć na skutki swych niecných żartów.

Stary satyr podziwiał pustą zabawę wiatru i uśmiechał się z zadowoleniem — on nigdy słabym nie współczuł.

Ciszy wczesnego dnia jesiennego nie zakłócało nic, chyba szelest spadających liści lub świszczące tony, które wiatr wygrywał na słomianych chochołach.

O tej wczesnej godzinie stał obok stawu, oparty o ruinę greckiego teatru, jakiś starszy, bardzo stary pan i ze skupieniem patrzył na szczytki sceny. Czy jego utkwili nieruchomo w jeden punkt, a gładko wygolone wargi poruszały się

lekką, jakby szeptały modlitwę. Może bolał nad ruiną świątyni polskiego słowa, a może rozsunął przed oczyma jakąś scenę, która ongiś tu się rozgrywała. Z długiej zadumy wytrącił starca czyjś głos:

— A cóż dyrektor tak stoi nad tą ruiną, jak wielki prorok nad gruzami Jerozolimy?

Staruszek odwrócił się szybko, spostrzegł na ławce artystę malarza Wiencka, który obserwował go od dłuższego czasu.

— Słuchałem wiersza Zabłockiego. Fireyk rozmawiał z Podstolina, — odpowiedział staruszek czerwieniąc się, jakby złapany na gorącym uczynku. Podszedł do ławki, aby przywitać się z malarzem.

— Obserwowałem dyrektora długo — szkoda, że nie miałem płótna i pendzli...

— Malowałby pan obraz pod tytułem: dwie ruiny: — kamienia i człowieka.

— Co też dyrektor wygaduje? Wygląda pan wspaniale. Słyszałem, że wygrzał pan kości w złotym piasku Rimini, opalił się pan jak cygan, rusza się, jak młody człowiek i czytam w „Kurjerze“, że wspaniale snuje dyrektor projekty na obecny sezon w teatrze...

— A gdzie pan spędził lat ? — przerwał dyrektor Trzysiński.

— Ja jak zawsze, u stóp Tatr. Łaziłem po górach, siedziałem u Karpowicza, a gdy zabrakło srebrników i chętnych do udzielania pożyczek, wróciłem do Warszawy. Piękne byłoby Zakopane, gdyby nie czerechy obecnych letników. Człowiek musi uciekać w góry, aby bodaj na chwilę odnowić dawne wspomnienia. Należę już do tych stetryczalnych, którym dokucza zestawienie pojęku wiatru balnego z wrzaskiem jazz-bandu... Zbudowali, zaśmiecali, wyperfumowali to dawne Zakopane, niszcza tradycję. Zostały na szczęście Tatry...

„Ale nie zgadłby nigdy dyrektor kogo spotkałem przy Pięciu Stawach, — Karnickiego. Siedział u jakiegoś bacy zarośnięty, brudny, schudł. Przy-

witał mnie, jak wściekłego psa. Mówił, że coś pisze. Po wielkich dopiero ceremonjach odprowadził mnie do Morskiego, nie chciał nawet pić wódki, zaraz poszedł z powrotem przez Wrota Chałubińskiego. A wczoraj przypadkiem dowiedziałem się, że jego sztuka jest gotowa i dyrektor ją wystawia. Widocznie chłop wrócił do dawnej siły. Zawsze mówiłem, że do pisania potrzebował się oddzielić od Krzeszówny Czarnym Stawem i Zawratem...“

— Widzę mistrzu — uśmiechnął się z ironją Trzyśiński, że pan jest ciągle nieubłagany wrogiem Krzeszówny. Ja trochę inaczej patrzę na sprawę. Może właśnie Krzeszówna zmusiła go do pisania... W naturze jest celowość. Dla mnie przykładem bezwładu jest mężczyzna — motorem jest kobieta. Stworzona została, by mężczyznę z inercji wytrącać. Młody chłopak dopiero wtedy zaczyna się porządnie myć, czesać, starać o ładne zawiązanie krawatu, gdy zetknie się z dziewczyną i stara się jej podobać. Przedtem ma palce poplamione atramentem i nieczyszczone kamasze. Bez wątpienia kobieta wprawia mężczyznę w ruch, zmusza go do zataczania coraz szerszych kręgów myślenia, do starania się o zwiększenie dóbr.

„Gdy mamy lat szesnaście, głowimy się, by zdobyć złotówkę i na randce zapłacić wodę sodową z sokiem i ciastkiem. Gdy jesteśmy starsi, rozbijamy się za środkami materialnymi dla założenia wspólnego domu. Gdy człowiek ma trzydziestkę, to szklanka wody sodowej i ciastko już nie wystarczają, musimy się głowić nad zaplaceniem kochance kolacji w Bristolu i kupnem płaszcza. Głowiąc się posuwamy na przód kulturę, technikę, pracę świata“.

„Tak — mojem zdaniem kobieta jest motorem, która tak bezwładną maszynę, jak mężczyzna, potrafi wprowadzić w ruch. Dość jednak tej teorii. Ale przystosowując ją do Krzeszówny i Karnickiego nie sadzę, aby ona była przyczyną jego długiego milczenia. Przeciwnie, uważam, że ona właśnie ruszyła maszynę z ciężkiego bezwładu.“

— Możliwe — zgodził się niechętnie Wiencek.

— Tak jest, Karnicki złożył przed miesiącem nową sztukę pod tytułem: „Sąd nad Antychrystem“, już dwa tygodnie trwają próby i prawdopodobnie z początkiem listopada wystawimy.

— A warte to co?

— Mojem zdaniem to potężny dramat i szkoda, że nie złożył go wcześniej. Byłbym otworzył ten sezon...

— A no daj Boże! Ale może dyrektor powie mi kilka słów o tym dramacie. Interesuję się Karnickim bardzo. Kocham go. Chłop o kobiecym sercu, choć wygląda twardy jak kogut. Dawniej żyliśmy w największej przyjaźni, dopiero Krzeszówna nas rozłączyła. Zawsze uważałem, że ona paraliżuje jego twórczość i podcina mu skrzydła. Miałem o to żal do niej. Może się myliłem...

— Chętnie opowiem panu kilka słów o nowej sztuce — mówił Trzysiński ze skupieniem, jakby chciał odtworzyć sobie dramat przed oczyma. — Treść opowiedzieć, oczywiście trudno. Zna pan tę przepowiednię:

„Rosja, po złamaniu oków białego caryzmu, wejdzie na równię pochyłą i toczyć się będzie w dół aż do czarnej anarchji“. Znana przepowiednia. Na tej przepowiedni wykuwa Karnicki swój dramat. Oto jego ogólna osnowa:

„Naród, który żył wieki w dobrobycie i spokoju, zaczął mięknąć, tracił hart, zaczął się imać niegodnych myśli. Szemrał przeciw Bogu, dążył do takiej potęgi, aby świat przerazić, a dążył do niej uciśkiem bezbronnych i zabobnością. Z rozkazu Najwyższego naród ten miał przebyć tak straszną pokutę, że albo w niej odkupi swe winy i wyjdzie uleczony, albo zginie. Narzędziem Najwyższego miał być żydek, Symcha Azer. Miał stać się on dla narodu albo wielkim ogniem pokutnym, albo Antychrystem, po którego panowaniu naród doszczętnie wyginie.

„Gdy Symcha przyszedł na świat w brudnej i ciasnej izbie żydowskiej, szalała w nocy na dworze bu-

rza. Deszcz obfitemi strugami bił w słabe szyby domu, wiatr gwizdał i ryczał w kominie, jakby zwolował na djabli sabat. Uważano to za niepomyślny znak dla życia, które przed chwilą powstało. Wtem zapukał ktoś w szybę. Stary Azer odsunął zapórę i w świetle długiej błyskawicy, ujrzał chudego, niezmiernie wysokiego człowieka, który prosił o schronienie. Gość był tak niezwykle, że trwożył swoim wyglądem. Przyszedł z pod strug deszczu, a ubranie jego było suche. Nieznajomy pochylił się nad dzieckiem i mówił:

„W taką noc, jak dzisiaj, przychodzą na świat tylko ludzie niezwykle. Z nocy takiej rodzą się ich myśli, słowa i czyny. Błyskawice — to ich myśli, grzmot — ich słowa, czyn ich — to piorun. Twój syn będzie trwożył i niszczył, jak ta straszna noc dzisiejsza“.

„Wśród takich to okoliczności przyszedł na świat człowiek, który, gdy dorósł, wszczepił jad w krew narodu. Młody Azer głosił dziwną ewangelję. I pod wpływem jego słów dymy pogorzeliśk zaczęły się snuć po żyznych polach potężnej dawniej Rosji, z miast biły łuny i zostawały krwawe pogorzeliśka. Naród doprowadzony do oblędu nie widział niczego i szedł wpatrzony w proroka, wierząc, że on prowadzi do szczęścia“.

„I oto z tej samej wsi, z której pochodził krwawy Azer, wyszedł młody człowiek — zwał się Mitryn. Widząc, zniszczenie, głód i zarazę, chwycił kij wędrowny i szedł od wsi do wi od miasta do miasta, leczyć słowami oblęd. Jednego dnia spotkał Mitryn na zgliszczach domu człowieka o nieprzytomnych oczach. Nędarz słuchał słów jego, a z oczu znikał mu oblęd. Był to pierwszy uleczoney. Po nim było ich dziesięciu, potem setki i tysiące, a wreszcie miliony pozostałych jeszcze przy życiu. Zrozumieli wreszcie, że ogień zniszczenia, a nie zbawienia przepala naród. Zrozumieli, że płaszcz Azera, to nie królewska purpura, lecz przesiąknięty krwią ludzką łachman“.



„Przyszło opamiętanie“

„Na ruinie wielkiego miasta miał się odbyć sąd nad Azerem — Antychrystem. Obwiniony przyszedł drżący i przerażony, okryty zmietym, rdzawym płaszczem“.

„Na śmierć Antychrysta!! — wył tłum, zawiedziony w swych nadziejach“.

„I w tym starszym momencie przyszedł Mitryna, wędrowiec, uciszył ludzi skinieniem ręki i mówił“:

„ — Antychryst ód Boga pochodzi, on Jego wypełnić miał prorocstwo. Słuchać jego rozkazów mieli tylko ci, którzy od Boga się odwrócili i deptali Jego przykazania. Jeśli dziś krzyczycie: pod sąd Antychrysta, gdy pragniecie krwawego na nim odwetu, to nie ma już złych wśród was. Azer dopełnił proctwa. Bóg cofnął swój rozkaz, gdy przyszło upamiętanie. Z upamiętaniem przyszło odkupienie win...“

„Po tych słowach Mitryna, gdy tłum zwrócił oczy na oskarżonego, już go w tym miejscu nie było. Rozpłynął się gdzieś w przestworzu, a na miejscu, gdzie stał, leżał okrwawiony łachman“.

„Naród się opamiętał“...

„To jest kanwa, na której Karnicki snuje fantazję w czterech aktach i prologu. W to wplół autor szereg mocnych typów, choćby taką Bertę, kochankę Azera“.

Wiencek słuchał i nie zauważył, że przeszli Park Łazienkowski wkoło i stali u wyjścia. Trzysiński zmęczony przystanął, zatrzymał wolną dorożkę i żegnając się, prosił Wiencka:

— Mistrzu, proszę tylko zbytnio nie kolportować treści „Sądu nad Antychrystem“, bo Karnicki nawet prasie odmawia informacji.

— Dyrektorze, chyba na moją dyskrecję może pan liczyć — odpowiedział, kłaniając się.

Trzysiński wsiadł w dorożkę, która szybko potoczyła się po asfalcie i znikła w korowodzie pojazdów.

Wiencek zamyślony powrócił do Łazienek.

## ROZDZIAŁ V.

## Widmo „Tomasza“.

Trzysiński siedział w gabinecie przy biurku i z ogromną pedanterją przeglądał korespondencje. Z uwagą rozcinał nożykiem każdą kopertę, jakby bojąc się uszkodzić pismo lub znaczek. Następnie wyjmował zawartość, odczytywał treść i niebieskim ołówkiem kreślił na papierze uwagi.

Godzina odczytywania korespondencji należała widocznie do ulubionych czynności Trzysińskiego, bo w tym czasie nie pozwalał woźnemu nikogo wpuszczać do gabinetu. Dzisiejsza jednak korespondencja nie musiała być zbytnio ciekawa, skoro poświęcił jej zaledwie kilkanaście minut, a kosz obok biurka wypełniony był po brzegi.

Trzysiński spojrział na zegarek: — dochodziła druga, czas w którym zwykle opuszczał gmach teatru. Teraz jednak dziwnie mu się nie śpieszyło, możliwe, że jesienna szaruga podświadomie przytrzymywała go w ciepłym i suchym gabinecie. Postanowił niebezpieczeństwu spojrzeć w oczy. Wstał z wygodnego fotelu i podszedł do okna.

Widok ulicy mógł deprymować każdego. Z czarnych chmur, snuły się długie, cienkie nitki deszczu. Deszcz uderzał w głębokie uliczne kałuże i wybijał w nich miarowe okrągłe kółka. Wilgoć tworzyła welenową zasłonę, przesłaniając wzrok przechodniom. Trzysiński patrzył na ciemne smugi wilgoci, które deszcz znaczył na fasadach domów. Spojrział na ulicę.

Zamiast różnobarwnego tłumu przechodniów wymijały się na chodnikach setki lśniących, obmokłych parasoli. Silny podmuch wiatru wprowadzał jakiś zamęt w ten korowód.

Wśród tłumu przechodniów zauważył nagle człowieka, który szedł szybko wzdłuż jezdni w poła-

tanej czapce i podartym płaszczu gumowym. Człowiek ten rozdeptywał bosemy nogami głębokie kałuże.

— Chyba wziął jakieś iniekcje przeciw zapaleniu płuc — szepnął Trzysiński do siebie i uśmiechnął się z zestawienia bosych nóg i nieprzemakalnego płaszcza. Potem żal mu się zrobiło nieszczęśliwca. Uczuł w swoim ciele ziąb, jakby to on nogami rozdeptywał kałuże, a brudna, zimna woda przelewała się przez jego nagie stopy, oblepiała mu spodnie, trzymała w zimnym uścisku ciało. Dreszcz przeszedł po nim. Podszedł do biurka, nacisnął guzik dzwonka. Zjawił się woźny.

Proszę zawołać dorożkę — rozkazał sucho.

Ubrał palto, podniósł kołnierz w obawie, by deszcz nie przeniknął do wnętrza, nie zmoczył koszuli i kołnierzyka. Raz jeszcze rzucił wzrokiem na biurko, przekonał się, że wszystkie szuflady zamknięte i wolnym krokiem wyszedł z pokoju.

Mijał zakręt korytarza i był już blisko klatki schodowej, gdy zderzył się z reżyserem.

— Panie dyrektorze, może będzie pan łaskaw wrócić na chwilę do gabinetu — prosił nieśmiało reżyser.

Trzysiński obrzucił go niechętnym wzrokiem. Spostrzegł, że reżyser był blady i drżał ze zdenerwowania.

— Z pewnością znowu ma pan jakąś scysję z artystami i cały ciężar zajścia chce pan rzucić na moje barki... Nie panie, ja już mam dość bawienia się w sądy i protokoły... — szorstko odpowiedział i chciał ruszyć na schody.

— Ależ panie dyrektorze żadnej scysji z kolegami nie miałem — usprawiedliwiał się reżyser. — Chciałem w ważnej sprawie z panem pomówić, w bardzo ważnej sprawie... — powtórzył dobitnie.

— To mów pan tu, u diabła... — fuknął Trzysiński.

— Panie dyrektorze! Z Karniekiem coś złe...

— Co pan przez to rozumie?

— Proszę na chwilę do gabinetu, a zaraz panu wytłumaczę.

Trzysiński niechętnie cofnął nogę ze stopnia schodów i ruszył z powrotem do swego pokoju.

Zaledwie drzwi zamknęły się za nimi, reżyser przysunął się blisko i przyciszonym głosem mówił:

— Panie dyrektorze, Karnicki jest w niedobrej skórze, gdyby nie to, iż wiem, że nie pije, uważałbym, że znajduje się w stanie białej gorączki. To człowiek ciężko chory...

— Na co znów chory? — przerwał niecierpliwie Trzysiński.

Reżyser zrobił znaczący ruch palcem koło czoła. Dyrektor uśmiechnął się, potem mówił z wyrzutem:

— Panie Słojkowski — pan jest zawsze przesądny. Wiem, że Karnicki jest nerwowo chory, a te próby z wami łatwo nie idą. Rozumiem, że doprowadzają go do rozpacz — ale skąd wziął pan atak białej gorączki? Skąd obłęd? Doprawdy lubi się pan egzaltować i nie będę zdumiony, jeśli jutro po całej Warszawie będą kolportować, że „Sąd nad Antychrystem“ — to sztuka warjata, a Karnicki siedzi u Jana Bożego czy w Tworkach...

— Ależ panie dyrektorze! Niech mi wolno będzie skończyć.

— To kończ pan, bo tam na dole czeka dorożka.

— Otóż panie dyrektorze nie tylko ja i wszyscy koledzy, ale nawet Krzeszówna, jesteśmy stanem Karnickiego poważnie zaniepokojeni... Co gorsze, kilku ludzi z personalu technicznego już wie o tem, co się z nim dzieje i sprawa nie da się długo utrzymać w tajemnicy. Od kilku dni on wprost nie włada mózgiem...

— Panie Słojkowski, pan kpi ze mnie — obruszył się Trzysiński. — Nie dalej jak wczoraj rozmawiałem z nim na próbie... A zresztą dlaczego dziś dopiero o tem mi pan mówi, jeśli twierdzi pan, że od kilku dni Karnicki jest nie w porządku.

— Nie chciałem pana dyrektora alarmować przedwczesnymi wieściami. Myślałem, że to przejdzie...

— Co przejdzie? — Mów pan prędzej, bo gotów jestem zwarzować, jak pański Karnicki, a co gorsze przeziębic się w zapiętym palcie w opalonym pokoju...

— Może dyrektor łaskawie zdejmie palto i zechce zobaczyć, jak Karnicki wygląda po ataku...

Teraz Trzysiński spoważniał, czuł, że istotnie musiało coś zająć, zaczął więc innym tonem:

— Niech mi pan opowie, co się tam dzieje.

— Ponieważ dyrektor tak sceptycznie odnosi się do mojego opowiadania i uwag, to w tej chwili zawołałam maszynistę Kotulę.

Równocześnie reżyser podniósł słuchawkę telefoniczną, połączył się ze sceną i kazał wezwać starego maszynistę do gabinetu. Potem mówił spokojnie:

— Już od tygodnia obserwujemy dziwne podniecenie Karnickiego. Na ulicy biegnie szybko, aż temu złapać nie może, albo nagle zatrzymuje się, błyskawicznie odwraca i biegnie w przeciwnym kierunku, haźnie lustrując przechodniów — zupełnie, jak człowiek niespełna zmysłów. Wystarczy zresztą spojrzeć na jego twarz: wychudł, szczerzył, a oczy biegają, jakby ciągle czegoś szukały. Te oczy jego mogą przerażać... Czasem maluje się w nich taki strach, że mimowoli i po człowieku dreszcze przebiegają. Ten stan przechodzi jednak już po kilku minutach. Możliwe właśnie, że w takim momencie dyrektor z nim rozmawiał...

Dalsze opowiadanie reżysera przerwało delikatne pukanie do drzwi.

Do gabinetu wszedł stary Kotula. Na pooraną głębokimi bruzdami twarz starego maszynisty spływały wąskie, dawno nieostrzyżone kosmyki siwych włosów. Po rozdętej szyli przebiegały grube jak sznurki żyły, świadcząc o wieloletniej ciężkiej pracy. W ręce miał maciejówkę, zakłopotany po co wła-

ściwie wzywają go do gabinetu dyrektora. Sękaty palce drżały niespokojnie.

— Panie Kotula — przemówił reżyser. — Niechmo pan opowie, co pan widział wczoraj po przedstawieniu.

— Iii, co tu opowiadać, lepiej milczeć — odpowiedział maszynista i odetchnął z ulgą, że w takiej tylko sprawie wezwano go tutaj.

— Proszę niech pan opowie — rzucił szorstko Trzysiński.

Kotula pochylił głowę, nad czemś się namyślał, potem chrząknął kilka razy, jakby chciał zyskać na czasie.

— Pan dyrektor wie, że w naszym teatralnym fachu, to ludzie są strasznie zabobonni. I nietylko my robotnicy, ale i panowie artyści. Zresztą, jak o czemś mówi się dwadzieścia lat, to choćby to nie prawda była, to ludzie przecież uwierzą... Tak i ten zabobon o „starym Tomasz“, co to — pan dyrektor wie — był maszynistą i dwadzieścia lat temu powiesił się na windzie... Ciągle ta gadka wśród nas się kołacze. Nie ma wieczoru, żeby który z robotników, gdy przesuwa dekoracje, nie mówił, że „Tomasz“ stał i długo patrzył na niego, jak pracuje, a z szyji, to wisi mu postronek i płacze się po ziemi... Czasem to „Tomasz“ sam pomaga przesuwać dekoracje, a taki silny, że dekoracja tylko się toczy. Ten Stasiak, co jest za pomocnika, to choć o „Tomaszu“ nic nie wiedział, a miesiąc temu przyleciał z podziemi na scenę i mówił ze strachem, że na dole jakiś człowiek w spróchniałym, jakby z trumny ubraniu, wiąże na windzie pętle, śmieje się do niej, i żeby szczyrzy, a czuć od niego wilgoć, jakby z pod ziemi wyszedł. Chłopczyk było blade i uspokoić go było trudno. Zresztą co tu wiele gadać. Wszyscy wiemy, że nikt inny, tylko „Tomasz“ spalił teatr, bo coś pokreślił z bezpiecznikami... Kto wie, czy z nowym teatrem tego nie zrobi. Co nocy, gdy zamkniemy boczną bramę słyszymy, jak „Tomasz“ gospodaruje. Podnosi żelazną kurtynę, potem ją opuszcza, z tłem coś

wyczynia. Mówili początkowo, że to szczury, ale w to nikt nie wierzy, przecież każdy z nas uchem pozna czy to szczur, czy „żelazna idzie“... Kto wie, czy dziś wieczór „Tomasz“ nie zrobi mi jakiegoś figla, że tu przed panem dyrektorem o nim gadam...

Kotula rozejrzał się po kątach, potem obejrzał się za siebie, a zabobonny strach odmalował się na jego twarzy.

— No skończcie z tym waszym „Tomaszem“, a opowiadajcie, co było z panem Karnickim, przerwał niechętnie Trzysiński.

Kotula znów odchrząknął kilka razy.

— Z panem Karnickim to wczoraj było tak: Wszyscy już wyszli z teatru i artyści i personal techniczny, a zostałem tylko ja. W garderobie rozmawiał jeszcze pan Karnicki z panem Stanillo. P. Stanillo wyszedł, więc myślałem, że i pana Karnickiego już niema. Zgasilem światło, chcę iść do domu, a tu słyszę w ciemności, chodzi ktoś po scenie i jakby rękami macał po dekoracjach. Zaraz przypomniał mi się „Tomasz“. Dech mi zaparło ze strachu, ani kroku nie mogłem iść naprzód, jakby mi kto gwoździami podeszwy przybił do podłogi. Ale zmogłem się, świecę światło, patrzę: idzie p. Karnicki, oczy ma wytrzeszczone, jakby nimi nic nie widział, nawet światła. Nogi jak z drzewa, a ciągle mruczy coś, jakby pacierz odmawiał. Patrzę co będzie. Wszedł na żelazne kręte schody, idzie wprost na dół do podziemi... Chciałem go zatrzymać, ale tak niesamowicie wyglądał, że mrówki mi chodziły po plecach i bałem się, żeby się na mnie nie rzucił. Zeszedł na dół i długo było cicho. Nagle usłyszałem z podziemi straszny krzyk, a potem, jakby dwóch ludzi ze sobą się zmagalo. Kotłowało coś na dole, tarzało się po ziemi, myślę sobie... źle... Z pewnością na dole zbił się pan Karnicki z „Tomaszem“. Wreszcie usłyszałem głuchy krzyk, jakby ktoś kogoś za gardło dusił... Chciałem zjechać windą, na dół, ale bałem się, coś mnie znówu trzymało za nogi. Znów było cicho. Byłem pewny, że pan Karnicki nie żyje. Za

chwile słyszę, ktoś idzie wolno po schodach do góry, stapa, jakby drewnem wystukiwał po żelaznych schodach. Schowałem się za dekorację, a serce biło mi tak, że myślałem, iż piersi rozsadzi. Nie wiedziałem kto wyjdzie na scenę. Patrząc, a tu z jamy schodów wysuwa się powoli głowa. Długie włosy leżą na czole, oczy jak u warjata... pan Karnicki. Palto gdzieś umazał, rękę ma skrwawioną, jakby rozdarta na gwoździu i tą ręką pokazuje drogę, miałem wrażenie, że ktoś jeszcze za nim szedł. Wyszedł na scenę, mówi coś do siebie, robił ciągle komuś miejsce i drogę wskazywał. Wolno przeszedł scenę i szedł tak aż do bramy...

A nie słyszeliście, co mówił? — spytał Trzysiński.

— Słyszeć, słyszałem, ale ze strachu nic nie pamiętam.

— No i co dalej?

— Ano... wyszedłem za panem Karnickim, aż na ulicę. Szedł przez Wierzbową, potem skręcił w Trebacką. Stanałem chwilę i patrzyłem, jak obwiązywał w ciemnym kącie zakrwawioną rękę.

— Co się stało dalej?

— Ano... nie wiem... poszedłem do domu, bo była już pierwsza po północy.

Reżyser podziękował Kotuli i pozwolił mu odejść.

Zaledwie drzwi zamknęły się za maszynistą. Trzysiński poważnie już zaniepokojony spytał:

— Niechże mi pan, panie Słojkowski powie, co znów było dzisiaj...?

— Dziś panie dyrektorze, Karnicki przyszedł na próbę w doskonałym humorze, rzucał nawet jakieś dowcipy, jakby mu się wczoraj nie przydarzyło i gdyby nie zabandażowana w przegubie ręka, byłbym opowiadaniu Kotuli nie wierzył. Próbę rozpoczęliśmy od trzeciego aktu. Karnicki był zadowolony. Byliśmy w miejscu dialogu Azera z Bertą, Karnicki podszedł bliżej do Krzeszówny i Dyresza i słuchał w skupieniu każdego słowa. Nagle skoczył jak szalony, chwycił Dyresza za gardło, powalił go



na ziemię i zaczął go dusić. — „Mam cię wreszcie tu przy wszystkich!“ — krzyczał jakimś ochryplym głosem i dusił Dyresza kolanami, potem puścił go, chwycił krzesło i rznął nim z taką siłą w kierunku Krzeszówny, że krzesło rozleciało się w drobne kawałki. Szczęściem nie trafił nikogo. Teraz leży półprzytomny na dole, a stara Braunowa robi mu okłady. Dyresz telefonował po karetkę pogotowia..

— A to osioł! Skandalu narobi na całe miasto... — syknął Trzysiński i szybkim krokiem wyszedł z gabinetu, kierując się na scenę.

W prawym kącie sceny leżał na otomany Karnicki. Na kredowo bladej twarzy, malowało się straszne zmęczenie. Palcami przyciskał skronie. Na czole, jak drobna rosa, wystąpiły krople potu. Obok chorego siedziała stara Braunowa, przytrzymywała ręką okład na jego sercu. W drugim kącie sceny skupili się aktorzy i półgłosem opowiadali sobie o ataku furji pisarza i o spazmach Krzeszówny. Trzysiński zbliżył się do otomany, pochylił się nad chorym i patrzył długo w jego bladą twarz. Nagle spostrzegł, że z oczu Karnickiego spływają dwie duże łzy. Dyrektor położył delikatnie rękę na głowie chorego i spytał miękko:

— Panie Ludwiku!... czy już lepiej...?

Karnicki otworzył oczy, patrzył z wdzięcznością i mówił zawstydzony:

— Nie nie pamiętam, czuję tylko, że coś niedobrego było ze mną. Teraz dopiero dowiedziałem się, że mimowoli naraziłem panów na takie przykrości...

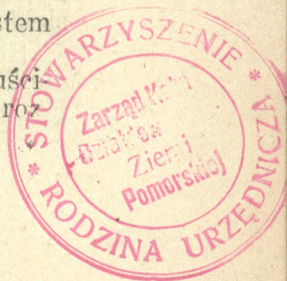
— Iii, zwykły atak zdenerwowania — uspakajał Trzysiński. — Główna rzecz, aby panu było lepiej...

— Dziękuję, znacznie mi lepiej — powiedział chory i z trudem dźwignął się z otomany.

Grupa aktorów zbliżała się teraz do niego. Karnicki wyszukał oczyma Dyresza i szepnął:

— Przepraszam, bardzo przepraszam. Jestem chory...

Dyresz wyciągnął rękę do niego i serdecznie uściskał mu dłoń. Wszyscy byli zatroskani. Nagle roz-



legł się sygnał trąbki pogotowia ratunkowego. W oczach Karnickiego odbił się niepokój. Trzysiński tak cicho, aby chory nie słyszał, szepnął do ucha Słojkowskiemu:

— Panie reżyserze, zbiegnij pan na dół i prze-proś, że karetka została niepotrzebnie zaalarmowana...

Słojkowski skinął głową na znak, że rozumie i szybko oddalił się.

Karnicki próbował iść, kroki jego jednak były tak chwiejne, iż zdawało się, że chodzi po pokładzie statku, podczas burzy. Powoli jednak z twarzy ustępowała kredowa bladość, a nogi zaczęły wreszcie trochę pewniej stapać.

Trzysiński skinął na woźnego:

— Proszę przynieść palto i kapelusz pana Karnickiego.

Za chwilę Trzysiński i Karnicki schodzili ze schodów.

Na ulicy wiatr siekł im twarz, uderzając w oczy kroplami zimnego deszczu. Pod wpływem zimna Karnicki coraz szybciej przychodził do siebie, członki jego odzyskiwały prężność.

Trzysiński wsunął mu rękę pod ramię i z ojcowską troskliwością pytał:

— Panie Ludwiku!... czy ostatnimi czasami pan pije?

— Ale dyrektorze, przez ostatnie miesiące kieliszka wódki nie widziałem.

— Więc cóż u licha tak pana podcięło?

Karnicki nie odpowiedział.

Dyrektor dobrą chwilę obserwował zmęczoną, wymizerowaną twarz młodego człowieka. W siwych oczach staruszka malował się niepokój i tkliwość. Zdawało się, że pragnie część jego trosk wziąć na siebie.

Stali na rogu Ossolińskich i Wierzbowej, gdy nagle Trzysiński udał, że wpadł na doskonały pomysł. Pociągnął swego towarzysza, udając wesołość:

— Przez pański atak naraziłem się porządnie gospodyni, spóźniłem się na obiad. Jeśli dobrze mi pan życzy i niechce, aby mnie w domu wyłajano, i abym jadł odgrzewany obiad, to chodź pan ze mną do Europejskiego. Kieliszek dobrego koniaku na tę psią pogodę nie zaszkodzi...

Karnicki nie protestował. Czuł, że obok niego idzie człowiek życzliwy. Serce wezbrało mu wdzięcznością, chciał Trzysińskiemu dziękować, uściskać mocno staruszka — siły mu nie pozwoliły. W gardle coś go dusiło i dławiło, szedł posłusznie ze zwieszoną głową, ale z ochotą w duszy.

Sala hotelu Europejskiego była o tej porze pusta. Jedynie przy stole, koło bufetu, zapalony był kandelabr. Kelnerzy siedzieli pochyleni nad rachunkami, z ich stołu padało od czasu do czasu jakieś głośniejsze słowo, lub brzękła metalowa marka, rzucona o stół.

Usiedli w ciemnym kącie, przywołali kelnera, aby zapalił światło. Cisza, wygodne fotele, ciepło, jasne światło zaczęły przywracać obydwóm dobry humor. Karnicki dał się namówić, wypił spory kieliszek koniaku i czuł, że ciepło rozechodzi się po całym jego organizmie i równocześnie usuwa zimny niepokój.

Trzysiński zauważył wkrótce, że twarz jego towarzysza przybiera normalniejsze kolory, a oczy nie patrzą z taką beznajdziejnością i tępotą na świat. To wprowadziło go w dobry humor.

— O takiego, to pana lubię panie Ludwiku... Tak pan wyglądał, gdy po raz pierwszy zapukał do mego pokoju. Pamięta pan? Zmienił się pan dopiero w ostatnich tygodniach. Coś się z panem dzieje niedobrego. Tyle ludzi przewinęło się przed moimi staremi oczyma, a żaden nie spalał się tak prędko, jak pan — może jedyny Skierski — ale jego nerwy i mózg przeżerała morfina. Odwiedzałem go w Tworkach. Głód morfiny wykrecał ciało, jak sprężynę. Usypiali go weronalem. Nic nie pomogło. Wkońcu

dawali mu tyle morfiny, ile pragnął. Był obłąkany. Strasznie umierał...

Opowiadając o śmierci Skierskiego, Trzysiński nie spuszczał oczu z twarzy młodego człowieka, jakby próbował, czy drgnieniem twarzy zdradzi się. Ale Karnicki zrozumiał aluzję. Wyczytał natarczywe pytanie w oczach staruszka. Zaprzeczył gwałtownie:

— Ależ dyrektorze, zaklinam się na cień ojca, że żadnego narkotyku nie zażywam.

Trzysiński odetchnął z ulgą, potem delikatnie rękę położył na żylastej ręce sąsiada, uściskał ją lekko, jakby mu dziękował i uspokojony już mówił:

— Daruj pan, byłem niespokojny. Wierzę panu zupełnie. Jeśli nie narkotyki, to inne sprawy przechodzą po was literatach lekko. Przypominacie usposobieniem trawę, która zmiażdżona ciężkim walcem zdaje się, że lada chwila uschnie, ale wystarczy trochę rosy, czy deszczu, a rozpręży się, podnosi i rośnie dalej.

— Wybaczy dyrektor, ale porównanie nie jest trafne — zaprzeczył Karnicki. — Ja twierdzę, że my literaci przypominamy raczej kobietę-matkę. Tworzymy i cieszymy się, że wydamy na świat piękne zdrowe dziecko, które śmiać się będzie do ludzi i słońca, a czasem czujemy, że pod sercem powstaje twór, który jeśli ujrzy światło dzienne, to nas zniszczy lub uśmierci. Nienawidzę „Sądu nad Antychrystem“. Każde dzieło upada, gdy tworzone jest pod przymusem...

Karnicki zagryzł wargi, z niepokojem patrzył na Trzysińskiego, jakby się przeraził, że powiedział za wiele.

— Nie rozumiem — zdziwił się Trzysiński. — Słyszałem, że wielkie dzieła przychodzą na świat jako erupcja talentu, tak nieoczekiwana i nieobliczalna, jak wylew lawy z krateru. Wiem, że małe dzieła mogą się rodzić z chęci zysku, ale o przymusie, to przyznam, że pierwszy raz słyszę...

— A jednak i przymus może zrodzić sztukę. Pragnąłbym, by pan nigdy nie dowiedział się, jak takie dzieła powstają.

— Oczywiście, że teraz jeszcze mniej rozumiem, jak przedtem. Ale przebacz pan, panie Ludwiku, że wtrącam się w nieswoje rzeczy. Mam dużo przyjaznych uczuć dla pana. Jestem tak stary, że z wieku mógłbym być pana ojcem. A starzy uzurpują sobie wiele, a czasem podświadomie są i brutalni. I ja nie jestem inny, jak starcy i dlatego brutalnie pytam: Czy pańskie domowe stosunki nie są zbyt uciążliwe?

— Teraz ja nie rozumiem dyrektora.

— Więc powiem jeszcze wyraźniej. Czy pewny pan jest, że pańska przyjaciółka dobrze oddziaływa na pana psychikę, twórczość i nerwy?

Karnicki był pytaniem zaskoczony. Nie odpowiedział. Siedział oparty łokciami o stół, a długie, drżące palce wplątał we włosy. Zdawało się, że to nie ręce, ale jakieś poczwarny, płaski polip siedzi na jego głowie i wolno porusza mackami. Trzysiński poprawił się w krześle i zapalił papierosa.

— Nie lubi pan, panie Ludwiku, odpowiadać na kłopotliwe pytania. A może obawia się pan źle mówić o swojej przyjaciółce... Miesiąc jednak temu, ja właśnie byłem żarliwym obrońcą Krzeszówny przed atakami pańskiego przyjaciela. W rozmowie z nim wyraziłem tylko wątpliwość, czy nie jest ona zbyt silnym motorem dla poruszania takiej maszyny, jak pan. I dziś tylko z taką wątpliwością wobec pana występuję. Znam pańską przyjaciółkę dłużej od pana. Niech się pan nie obrusza..., ale dawniej... i dla mnie starego nie była obojętna. Poznałem ją bliżej i wyrobiłem sobie o niej należyty sąd: Piękna kobieta, ale silna histeryczka, większa i lepsza aktorka w życiu codziennym, aniżeli na scenie. I dlatego nigdy nie będzie ani dobrą przyjaciółką, ani wielką artystką. Jeśli ktoś gra cały dzień, musi być wieczorem w godzinie przedstawienia zmę-

czony. Pan widocznie nie doszedł jeszcze do stadium krytycznego patrzenia na tę kobietę. Im później to przyjdzie, tem gorzej...

Trzyśiński nalał Karnickiemu i sobie filiżankę czarnej kawy, potem mówił jakby sam do siebie:

— Przekonany jestem, że wyraz „dyskrecja“, to wynalazek kobiet. One wmówiły w nas mężczyzn, że odzieranie ich z szat uludy przed drugim mężczyzną, to brak gentelmaństwa, to podłość. W ten sposób zamknęły nam usta na kłódkę. Gdyby mąż mógł wszystko opowiedzieć o swojej żonie przed kandydatem na kochanka, samą prawdą oceniłby swój honor, a jego ustrzegł przed wielu niespodziankami. Mam przyjaciela, którego żona uciekła z kochankiem. Po upływie roku młody człowiek przybiegł do męża, ukląkł przed nim i w starcie czarnej rozpaczki prosił o radę, jak uwolnić się od strasznej kobiety. Mój przyjaciel nie tryumfował, zmartwił się szczerze, ale cóż mógł poradzić? — Dlaczego nie spytał mnie pan rok temu, kim jest moja żona, wtedy byłym pana ostrzegł, — odpowiedział z wyrzutem — dziś jednak zapóźno...

„Bezwątpienia zaoszczędzilibyśmy sobie wiele zmartwień i kłopotów, gdybyśmy mogli spytać swego poprzednika, kim jest kobieta, która wydaje się nam ideałem. Ale nie wielu mężczyzn podzieliłoby się swoim doświadczeniem... Jedni ze złościwości, drudzy z obawy przed zarzutem niegentelmaństwa. Tak, niewątpliwie kobiety wydały nakaz milczenia. Wymyśliły to bardzo sprytnie. To im pomaga znakomicie do przetwarzania się ciągle w nowy ideał dla nowego kochanka, gdy poprzednikowi zatrula już życie. A jednak kobiety tak nam są potrzebne dla pracy, dla dźwigania świata wprzód. Bardzo to dziwne...

Karnicki zbudził się z zamyślenia.

— Myli się pan jednak dyrektorez, jeśli pan sądzi, że dziś jestem zdolny do wyboru między Krzeszówną a twórczością. Wybór już dawno uczyniłem...

— I co pan wybrał?

— Krzeszówkę.

Trzysiński położył rękę na ramieniu młodego człowieka.

— Nie, panie!... taki wybór nie powinien być stanowczy. Czy nie żał panu tego uwielbienia, zachwyty i kultu, który tak długo otaczał pana wszędzie? Czy nie żał panu nawet tych bezsennych nocy twórczych, które mijają, jak mgnienie oka, a gdy przyjdzie świt, to dusza jest pełna radości? Czy nie żał panu, choćby tych wstrząsów nerwowych, jakie daje każda nowa sztuka?

— Żał mi, żał mi tego wszystkiego, — westchnął boleśnie Karnicki.

Kelnerzy zapalili wielki żyrandol w sali restauracyjnej. Trzysiński ocknął się i spojrzął na zegarek, była siódma. Przywołali kelnera, wyrównali rachunek. Karnicki wstał ociężale, jak senny powlókł się ku wyjściu.

Na ulicy padały pierwsze płatki śniegu. Trzysiński uściskał dłoń towarzysza i pocieszał go słowami.

— Panie Ludwiku!... Dzisiejszy świat zna odtrutkę na każde zatrucie, nawet moralne — miej pan tylko zaufanie do ludzi.

Karnicki uśmiechnął się i wolnym krokiem ruszył ku Krakowskiemu Przedmieściu. Trzysiński spieszenie wrócił do teatru.

## ROZDZIAŁ VII

### Premjera.

Kończył się mroźny dzień zimowy. Promienie słońca rzucały purpurowe refleksy, przedstawiały się przez zamarzniete okna do wnętrza nieoświetlonych jeszcze mieszkań.

O tej szarej godzinie Karnicki przemierzał pokój nerwowymi krokami. Od czasu do czasu przyciskał rękami skronie, jakby chciał uśmierzyć dotkliwy ból głowy, lub odpędzić przykre natrętnie myśli. Długi spacer wzdłuż czterech ścian zmęczył go widocznie, bo przysunął ciężki fotel do okna, usiadł i zapalił papierosa. Wzrokiem błędził bezmyślnie po meblach pokoju, śledził motywy tapety. Wreszcie spojrzął na okno. Oczy jego przyciągały rysunki, które rzeźbił na białych szybach. Szczególnie motywy na jednej szybie pochłaniały silnie jego uwagę. Z białych nieregularnych linii starał się za wszelką cenę stworzyć jakiś obraz. Fantazja jego pracowała silnie. Wyobrażał sobie pałac, którego fasada ozdobiona była tak piękną sztukaterją, jak delikatna koronka. W otwartym wejściu widniała amfilada pokoi, zapraszając do wnętrza. Promienie zachodzącego słońca kąpały ten pałacyk w purpurze.

— Krwawy labirynt, — szepnął Karnicki do siebie.

Potem gwałtownie i nerwowo szukał w swej pamięci, kiedy to widział podobny obraz rzeźbiony na szybie. Przypomnił sobie. Był to ten sam dzień, w którym zaniósł Hance róże. Zerwał je w zaczarowanym ogrodzie, położył na jej piersiach i rozpoczął się wstęp do bajki. Przez dwa lata trwał jej ciąg dalszy.

— Czy teraz ma być koniec? — pytał sam siebie.

Czerwona poświata gasła coraz szybciej, pałacyk mienił się barwą fioletową, przeszedł w kolor niebieski, aż wreszcie znikł zupełnie na tle czarnej nocy. Karnicki ocknął się.

W pokoju było ciemno, tylko lampa uliczna rzucała przez okno żółte światło, kładąc na meblach pokoju tajemnicze cienie. Zaczął z niepokojem rozglądać się dokoła siebie. Uporczywie wpatrywał się w każdy mebel, jakby chciał oddzielić tajemniczy cień od właściwych kształtów przedmiotu. Oczy



jego przebiły wreszcie najciemniejszy kąt pokoju, w którym stało błyszczące, niklowe łóżko. Nie wiedzieć, czy łóżko nabierało w cieniach nocy jakichś potwornych kształtów, czy wyobraźnia jego tak grała, dość, że utkwil nieruchomo oczy w tym kącie. W żrenicach odbijał się strach. Mięśnie zaczęły się rozprężać i czuł się bezsilny, jak dziecko. Palce wpiły się nerwowo w poręcz fotelu. Zęby uderzały o zęby.

Chciał się zerwać z fotelu, lecz nogi jak bezwładne kłody przeszkadzały wysiłkowi innych mięśni. Chciał nacisnąć dzwonek, ale ręka nie dosięgała biurka. Chciał krzyknąć i przywołać kogoś, ale struny głosowe zdawały się być sparaliżowane.

Nagle rozległ się w pokoju ostry głos dzwonka telefonicznego.

Sygnal telefoniczny podziałał kojąco na narwy Karnickiego. Doznał wrażenia, jakby w pokoju jego była jakaś istota żywa, ucieleśniona w błyszczącym pudle telefonu. Wstał z fotelu, podniósł słuchawkę, nie spuszczać jednak oczu z niklowego łóżka.

Dzwonił woźny z polecenia dyrektora teatru z prośbą, by stawił się dziś wcześniej na premierę „Sądu nad Antychrystem“. Karnicki obiecał, że o siódmej będzie już w teatrze, potem rozmyślnie przedłużał rozmowę z woźnym, wypytywał go o sprawy dla niego zupełnie obojętne, byle słyszeć swój własny głos.

Gdy wieszal słuchawkę, nerwy jego uspokoiły się znacznie, swobodnie przeszedł w kąt pokoju, odkręcił taster. Potoki jasnego światła wypełniły gabinet. Spojrzał teraz na niklowe łóżko i roześmiał się tryumfująco. Potem wyszedł z pokoju i przez jadalnię skierował się przed drzwi buduaru Krzeszówny.

Pod światłem pomarańczowej ampli siedziała artystka na puszystej skórze białego niedźwiedzia i polisoirem czyściła paznokcie. Pyjama z czarnego lśniacego jedwabiu upodabiała ją do egzotycznego węża, który rozpręca ciało na białym, miękkim pu-

chu. Oczy artystki padały od czasu do czasu na leżący obok rękopis, a wtedy czarne brwi ściągały się razem nad czołem. Widocznie przypominała sobie rolę. Karnicki stał we wnętrzu drzwi, bacznie śledził każde poruszenie przyjaciółki.

— Moja bajka... — myślał.

Nagle przypomniał sobie słowa Trzysińskiego: „Nie była obojętna nawet dla mnie starego“. Słowa te podziały na niego, jak uderzenie pięścią w oczy. Patrzył na jej smukłe nogi, na pierś lekko uwydatnioną pod czarną tkaniną, na szyję, która jak łożdka białego kwiatu wykwitała z czarnego tła pyjamy. Oczy przysłoniła mu mgła. Wyobrażał sobie teraz, że Hanka siedzi na ostrych kolanach Trzysińskiego, a suche palce starca, zdejmują z niej czarną zasłonę...

Zacisnął pięści tak mocno, że w stawach uczuł ból, ale podsycił dalej swoją zazdrość, aż do granic największego napięcia.

Nagle postąpił krok naprzód, parkiety skrzyknęły i Krzeszówna odwróciła głowę. Na jej twarzy wystąpił miły uśmiech, ręką wskazała na miejsce obok siebie na skórze.

— Ludwiku usiądź tutaj, musisz wysłuchać mojego dIALOGU w trzecim akcie, — prosiła, składając małe usta jak dziecko.

Uśmiech Hanki rozbroił go. Koszmar zazdrości zniknął gdzieś bez śladu. Usiadł obok niej na miękkiej, puszystej skórze, wziął rolę do rąk. Hanka przeciągnęła się leniwie, nagle wpiła się ustami w jego usta, aż tracił oddech. Potem miękko złożyła jego głowę na swoich kolanach.

— A teraz słuchaj, — przekartkowała rolę, wskazując palcem miejsce.

Karnicki słuchał. Jego własny wiersz nabierał w jej ustach dziwnego czaru i dźwięku tak, że sam zaczął się dziwić, że to on stworzył to dzieło. Zdawało mu się, że słyszy go po raz pierwszy, że jest tak potężny, iż mózg jego byłby za nikły dla jego stwo-

zenia. Wreszcie przestał odwracać kartki, przymknął powieki i poddał się zupełnie czarowi...

Krzeszówna utkwiała wzrok w abażurze ampii, jakby w niej widziała twarz Azera. Dźwięk głosu zdawał się ją podniecać i fascynować. Z dziką namiętnością namawiała Azera do dalszych zbrodni, gdy ten zdawał się słabnąć; rzuciła mu w oczy przekleństwa, gdy drżał przed nową zbrodnią, podniecała go groźbą, że rzuci się sama w objęcia Mi-tryna.

Karnicki słuchał, a gdy skończyła, leżał dalej z przymkniętymi oczyma, jakby na powiekach chciał zatrzymać obraz rozmowy Azera z Bertą. Ona zdawała się też upojona tą sceną. Patrzyła dalej rozszerzonymi źrenicami w abażur ampii, a ręką gładziła włosy przyjaciela. Po chwili ocknęła się z wrażenia.

— Ludwiku tyś wielki! — mówiła. „Sąd nad Antychrystem“, — to gwiazda, która nigdy nie zgaśnie. Zawsze będzie lśniła szlachetnym blaskiem, a obok niej twoje nazwisko. Sztuka twoja będzie tłómaczona na wszystkie języki i świat cały będzie o niej mówił. Przy twojej wielkości i ja będę wiei-ka... Czy pamiętasz Ludwiku, jak wtedy na sztucz-dle Saji, zdjął mnie żal, że ty zamilkłeś? I wtedy zmusiłam cię do czynu, którego nigdy nie będziesz żałował... Jeśli „Sąd nad Antychrystem“ da ci wielką sławę, to pamiętaj, że ja dzieła tego jestem współniczką. Czy pamiętasz, że wtedy moje postępowanie nazwałeś zbrodnią?...

Zamiast odpowiedzi przycisnął do ust jej małą rękę. Ona przytuliła jego głowę bliżej do swych piersi. Oparty twarzą o jej kolana, wyczuł jakieś ciepło, które drażniło mu zmysły.

.....

Kilkakrotny sygnał syreny automobilowej przywrócił im przytomność. Hanka wyslizgnęła się z jego objęć — podeszła do okna, rozchyliła firan-kę i wyjrzała na ulicę.

— Auto przyjechało. Spóźnimy się na premierę, szepnęła z przerażeniem.

Karnicki przeżywał jeszcze chwile upojenia. Nie mógł zebrać myśli. Hanka położyła mu rękę na głowie, jakby budziła go ze snu.

— Ludwiku auto jest, spóźnimy się, — szepnęła cicho nachylając się.

On pił jeszcze jej ciepły oddech, chciwie wchłaniał go w siebie. Wreszcie otworzył oczy.

— Kazałem szoferowi przyjechać już o w pół do siódmej, mamy trochę czasu, — odpowiedział sennym głosem.

Szybko zaczęli się ubierać, aby zdążyć na czas do teatru.

. . . . .

Zaledwie Karnicki z Krzeszówną przeszli wąski korytarz i pchnęli drzwi wahadłowe, przywitał ich za kulisami chór zniecierpliwionych głosów.

— Nareszcie jesteście.

Najwięcej zdenerwowany zdawał się być Trzyśniński, bo, nie tając złego humoru, zauważył kwaśno:

— Chyba nie macie w domu zegarka.

— Ależ dyrektorze, usprawiedliwiła się Krzeszówna, dopiero wpół do ósmej...

— Dla pani, dopiero, a dla mnie już wpół do ósmej. Nie rozumiem, kto właściwie na kogo ma czekać, czy wy na zespół, czy zespół na was?

— Ten, kto wcześniej przychodzi zawsze czeka na tego, który się spóźni, — odcięła z uśmiechem Krzeszówna.

— Pani widocznie mówi o randce, a nie o przedstawieniu, — szorstko rzucił jej w oczy stary dyrektor.

Za kulisami panował nastrój silnego podniecenia. Artyści przebiegali nerwowo z jednej garderoby do drugiej. Słojkowski demonstrował coś w kącie statystom. Mimo, że dekoracje stały ustawione

od południa, dekorator kazał coś przegrupowywać, kilkakrotnie rzucać światło na scenę, poprawiał farbą cienie. Trzysiński przypatrywał się pracy dekoratora, a w ustach przeżuwał gorzkie uwagi:

— Na pół godziny przed przedstawieniem maluje pan dekoracje...

— Widzi dyrektor, że namalowane, a poprawiam drobne usterki, nie powinno to wprawiać pana w jesienny humor, — odburknął malarz, nie wyciągając fajki z ust.

Trzysiński obrzucił go niechętnym wzrokiem i zawrócił za kulisy, gdzie statyści rozsypali się w drobne grupki, oczekując na chwilę, w której wypełną ich na scenę.

Dyrektor wszedł do garderoby Dyresza. Artysta siedział przed lustrem, umocowywał perukę, potem kredką i waseliną poprawiał szczegóły charakteryzacji. W kącie siedział Karnicki i szklannymi oczami patrzył na ruchy aktora. Trzysiński podszedł do niego, położył rękę na ramieniu.

— Cóż pan taki oswiały?

— Trema. Gdyby tylko w mocy mojej było, odwołałbym przedstawienie...

— Wstydz się pan, czy poraz pierwszy wystawia pan sztukę?

Karnicki uśmiechnął się zagadkowo.

Dyresz wstał od lustra, podszedł do Karnickiego z rolą i prosił go o jeszcze jakieś drobne uwagi, ten jednak dawał mętne odpowiedzi, przeskakiwał jak nieprzytomny z jednej kwestji na drugą.

Aktor spojrział porozumiewawczo na Trzysińskiego, — staruszek odpowiedział wzruszeniem ramion.

Nagle na korytarzu powstał jakiś zamęt, dały się słyszeć nerwowe nawoływania, wreszcie grobowa cisza zaległa kulisy. Rozległ się ostry głos dzwonnka elektrycznego. Dyrektor spojrzął na zegarek.

— Ósma! zaczynamy punktualnie, to dobry znak — uśmiechnął się z zadowoleniem.

Karnicki zbladł, na białem czole wystąpiły mu gęste krople potu. Zerwał się z krzesła, chciał uczynić krok naprzód — nie mógł. Uchwycił silnie poręcz krzesła.

Trzysiński spojrział z przerażeniem na twarz młodego autora, nie różniła się ona wiele kolorem od białego gorsu fraka.

— Dzwonek tak pana przeraził? — starał się żartować.

— Tak, ostatni mój dzwonek... — jęknął Karnicki.

Trzysiński podszedł bliżej i mruczał:

— Wstydz się pan. Tak nie panować nad nerwami. Wyglądasz pan, jakbyś szedł na ścięcie...

A potem chwycił Karnickiego pod ramię i pociągnął go w kierunku korytarza.

No, chodźmy do łóży — pan odbierać hołdy, ja asystować.

Przeszli przez wąski, źle oświetlony korytarz, który odgraniczał widzownię od sceny. Karnicki szedł półprzytomny, tylko oczyma starał się przebić każdy kątek korytarza. Kilkakrotnie drgnął nerwowo, chciał z powrotem bieć za kulisy. Trzysiński był szczerze żdziwiony. Nigdy nie widział go w takim nastroju. Dotychczas Karnicki swoim znakomitym humorem odganiał zawsze tremę u aktorów. Przed każdą premjerą swej sztuki był niezwykle ruchliwy, sam kontrolował za kulisami każdy drobiazg i szczegół dekoracji, czy kostjumów. Dzisiejsza zmiana była niepokojąca. Bezwątpienia musiał przeżywać jakieś straszne przesilenie, nerwy młodego autora napięte były widocznie do ostatnich granic. Trzysiński obawiał się, aby nie pękły z takim hukiem, jak kilka dni temu na próbie. Zatrzymał się więc przed wejściem do łóży dyrektorskiej i łagodnie parsadował:

— Jeśli rzeczywiście czuje się pan tak źle, to może wyjdzie pan teraz na powietrze...

— Wejdem... wejdem... — mówił Karnicki z jakimś poddaniem się i rezygnacją.

Światła na widzowni gasły wolno. Gwar przyciszonych rozmów milki, jakby tonowany ciemnością, aż zapanowało na widzowni tak wielkie milczenie, że Karnicki słyszał ciche uderzenia zegarka na swojej ręce. Oparł się o parapet łoża, spojrzął w ciemne wnętrze. Jak z czeluści wylaniały się sylwetki twarzy, jasne suknie kobiet, białe gorsy smokingów i fraków. Mdły zapach pudru, mieszanina zapachów wszystkich perfum oddziaływała niepokojąco.

Rozległ się matowy głos gonga. Karnicki przymknął oczy. Po chwili uczuł, jak prąd chłodnego powietrza musnął jego twarz. Kurtyna podniosła się cicho ku górze. Spojrzął na scenę.

Gazowe zasłony upodabniały scenę do starej makaty, na której znaczyły się mistyczne postacie, coś ze starego arrasu, przedstawiającego biblijny sąd. Gazowa zasłona wolno uchylała się, a nieruchome postacie makaty zaczęły się poruszać. Rozpoczął się prolog.

Karnicki siedział odrętwiały. Łowił uchem poszczególne słowa prologu, lecz nie mógł powiązać go w całość. Jakieś dziwne osłabienie ogarniało całe ciało, jakby krew odpływała mu z serca do nóg. Zimne, jak lód ręce, położył bezwładnie na aksamitnej poręczy łoża. Tracił świadomość, gdzie jest.

Zasłona spada. Skończył się prolog. Publiczność trwała w milczeniu, zahypnotyzowana wyrokiem. Zdawało się, że w starym zamczysku, w odludnym pokoju, gdy zegar wybił dwunastą, ożył jakiś stary wypełzły arras, odegrał scenę i zamarł znów na wieki.

Scena rotacyjna wykonała wolny obrót i kurtyna znów poszła ku górze.

W mrocznej, ponurej izbie żydowskiej przyszedł na świat zesłaniec. Wiersz onomatopeją ilustrował burzę, szalejącą na dworze w tę niesamowitą noc, w której biedny Azer po raz pierwszy zobaczył w świetle kopcejącej lampy twarz swego dziecka.

I gdy stary Azer z dziecięciem na rękę podszedł

do łoża położnicy, by złożyć na nim swego pierwotnego, wtedy rozległo się stukanie w drzwi. W poświecie długiej błyskawicy stanął w progu człowiek w czarnym, jak sukienny całun, stroju.

Ciszę przerwał nagle na widzowni jakiś spazmatyczny krzyk:

— Przyszedł z nim razem!!

Kilka osób odwróciło się w stronę łoża dyrektorskiej. Zobaczono, że w łoży tej ktoś zakrył czyjaś twarz firanką i okręcił nią głowę. Błyskawicznie wprowadzono kogoś z łoży...

. . . . .

Koniec ostatniej odsłony.

Przepowiednia spełniona. Azer wypełnił misję. Okaleczony, okrwawiony organizm wielkiego narodu przestał gorączkować, zaczął budzić się ku nowemu życiu.

Kurtyna spadła. Z żyrandolów padły jasne snopty światła. Na widzowni panowała jeszcze cisza. Rozgorączkowane oczy, przyśpieszone oddechy wskazywały, że ze sceny padły słowa, które rozpełtały silnie wyobraźnię ludzką — przesunęły się obrazy, które ludzie nieśe będą w oczach przez zaśnieżone ulice do swych domów, aby w ciszy dopiero zacząć ją nowo przeżywać. Ktoś zaczął klaskać. Tysiące rąk uderzały teraz zgodnie — dziękowały za sztukę. Ze spieczonych emocją ust padał co chwila okrzyk na cześć twórcy „Sądu nad Antychrystem“. Kurtyna podniosła się ku górze. Artyści dziękowali za owację. Autor się nie zjawił. Podniecona publiczność coraz natarczywiej dopominała się autora. Jeden z artystów wystąpił przed rampę, poprosił o ciszę, a gdy uspokojono się, artysta tłumaczył:

— Autor zachorował, dziękuje bardzo za uznanie, ale wyjść na scenę nie może.

Publiczność w milczeniu posuwała się ku wyjściu.

Żelazna kurtyna opuszczała się w dół z cichym zgrzytem.



## ROZDZIAŁ VIII.

## W nocnym dancingu.

Mróz od wczesnego rana trzymał miasto w ostrych okowach. Mokre wczoraj jeszcze chodniki i jezdnie błyszczały teraz jak tafla luster, po których ludzie stąpali wolno i ostrożnie, z trudem utrzymując równowagę. Mróz przykleił na konarach i gałęziach drzew grube pokłady śniegu, które w poświacie ulicznych żyrandoli iskrzyły się, jak drobne brylanty, ułożone na puchu waty. Od czasu do czasu wiatr starał się zburzyć dekorację drzew i dał z całej siły w rozłożyste gałęzie, rozpylając pokłady śniegu w suchy ostry pył, który siekł boleśnie twarze i uszy przechodniów. Ludzie jednak nie uciekali do swych mieszkań. Przeciwnie, mimo późnej godziny, szli wolno, wsłuchani w miarowy skrzyp, który wydawał śnieg pod naciskiem ich nóg.

Karnicki szedł wolno przez Plac Małachowskięgo, przystanął przed Zachętą, patrzył na białą koronkę, utkaną ze śniegu na szczerniałych gałęziach, potem patrzył na płomiene latarni. Dziwił się dlaczego zdają się być otoczone mglistą kulą, a zakończone niebieskim otokiem. Otok zaczął mu wirować przed oczyma, tak, że Karnicki z niechęcią odwrócił wzrok od promienia lampy. Spojrzał na zegarek, lecz zamiast białej tarczy wirowały mu przed oczyma rdzawo-niebieskie pierścienie. Natężył wzrok, dojrzał, że dochodzi pierwsza. Do domu nie miał ochoty wracać. Bał się teraz tego samego pokoju, który przed kilku jeszcze miesiącami wydawał mu się zaciszną przystanią.

Od ulicy Mazowieckiej toczyła się, po wyslizganym asfalcie, melancholijna dorożka. Woźnica rozglądał się na wszystkie strony, szukając zapóźnionego gościa. Karnicki skinął. Woźnica w lot zrozumiał, bo podciął batem starego konia. Koń przyśpieszył

kroku, potem na szeroko rozstawionych nogach zatoczył łuk i całą siłą mięśni pozrywanych nóg zatrzymał się przed chodnikiem.

— Do „Białego Pawia“, — rozkazał Karnicki i usadowił się w mocno wygniecionych poduszkach.

Dorożka potoczyła się wolno przez Plac Saski. Koń sunął kopyta w takt jakiegoś poloneza, potykając się co chwila i grożąc upadkiem na zamarznąłą jezdnię.

Karnicki patrzył ze współczuciem na nieszczęśliwe zwierzę, które zapadniętymi bokami i potworną głową przypominało raczej końskiego upiora z „Lennore“, niż normalne zwierzę pociągowe. Byłby chętnie coś uczynił, aby ulżyć doli nieszczęśliwego zwierzęcia. — Ale co? — pytał sam siebie. — Dam dorożkarzowi suty napiwek... — koń nie będzie miał z tego żadnego pożytku. Chyba wysiądę i będę popychał ten wehikuł — i uśmiechnął się do siebie na myśl, jak pocieszniej wyglądałby, popychając tą skrzywioną w resorach landarę, zakończoną łbem zagłodzonego konia.

— Chyba dam się spokojnie zawieźć — pomyślał — i odwrócił wzrok od nieszczęśliwego zwierzęcia.

Dorożka zatrzymała się na Senatorskiej przez jaskrawo oświetlonem wnętrzem. Karnicki wysiadł i wolno skierował się przez schody do garderoby. Gdy obrócił drzwi wahadłowe do sali dancingu, uderzyła go nieznośna atmosfera. Woń terpentyny, którą prawdopodobnie niedawno oczyszczono parkiety, mieszała się z zapachem perfum i pudru. Nad tem górował zapach rozmaitego gatunku papierosów i mdła woń spoconych ciał ludzkich. Gęste kłęby dymu tytoniowego otaczały, jak niebeska mgła, każdy kąt barokowej sali, pozwalając dopiero po chwili rozpoznawać sylwetki obecnych.

U wejścia ustawiono podest z krzykliwymi festonami, na którym murzyński jazz-band, podniecał tańczących saxofonem, kotłami i drewnianymi grzechotkami. Jakiś ochryply śpiewak starał się przez me-

talową tubę przekrzyczęć tony jazz-bandu i tenorowym głosem wykrzykiwał:

*„Wallencjo, cudny kwiecie,  
Tyś na świecie jedną jest,  
Wallencjo, w twoim tonie  
Zar namiętny ciągle płonie“.*

Jazz-band wystukiwał ostro każdy takt tej monotonnej piosenki, jakby przygrywał do tańca głuchoniemym. Splecione ze sobą ciała drgały konwulsyjnie na miejscu w takt shimmy. Gorąco, tony instrumentów i wir tańca rozpałały umysły do niepoczytalności.

Wokoło tańczących wiły się różnokolorowe węże corriandoli, oplatały tańczących, przesuwwały się długimi pasmami u ich nóg, a wreszcie strzelały ku górze, ku kryształowym pająkom i zwiślały bezwładnie na ich mosiężnych ramionach. W powietrzu uderzały jedne o drugie kolorowe baloniki, kołysząc się w prądzie powietrza razem z tańczącymi.

W ciżbie uwijali się kelnerzy, wkładając coraz to nowe flakony wina w niklowe kubelki.

Karnicki stał u drzwi wejściowych, rozglądał się wkoło, czy nie zobaczy kogoś ze znajomych. Nagle otarła się o niego kobieta o silnie wydekoltowanych plecach.

— Pan nie tańczy? — roześmiała się wyzywająco.

— Cały dzień tańczę, a wieczór odpoczywam — odrzucił kwaśno.

— To musi pan być froterem z firmy „Blask“ — odcięła brutalnie i zmieszała się w tłumie tańczących.

Jazz-band umilkł. Pary tańczących zaczęły odchodzić do stolików. Teraz Karnicki zobaczył w kącie sali Wiencka i dziennikarza Goetlicha. Prze-cisnął się, aby dojść do ich stołu. Obydwaj rozmawiali z ożywieniem, pociągając ze szklanek zielony płyn przez słomkę. Przywitani go z ogromną serdecznością. Wiencek nie mógł się nadziwić.

— Ludwiku! — wykrzyknął — chyba ze dwa miesiące nie widziałem cię. Wiem, że po premierze unikałeś „gratulantów“, a teraz spadłeś jak meteor i to między dziewczęta. Chyba po nastroje erotyczne dla swoich dzieł...

— Dość ma erotycznych nastrojów u siebie w domu, wystarczy mu na sto dramatów i komedji — burknął podpity Goetlich.

— Zanadto rekomendujesz Krzeszówkę — wybuchnął rubasznym śmiechem nie mniej podpity Wiencek.

Karnicki przygryzł wargi. Teraz żałował, że przysiadł się do nich, skoro przekroczyli już stan poczytalności. Goetlich spostrzegł niezadowoloną minę młodego autora i starał się nietakt naprawić serdecznym tonem prośby:

— Ale napijesz się Ludwiku z nami Pepermintu?

— Dziękuję, nie lubię, przypomina mi eliksir do zębów...

— Przecież nie będziesz siedział i tylko na nas patrzył?

— Naturalnie, byłaby to samobójcza atrakcja, ale mogę z wami wypić flaszkę wina, jeśli zrzekniecie się łobuzerskich dowcipów.

— Mówisz niby o Goetlichu? — spytał przez nos Wiencek.

— Mówię o was — wyraźnie zaakcentował Karnicki i odwrócił się kelnera, żądając spisu win. Wybrał flaszkę wysokiego gatunku.

— No. No! — dziwił się Wiencek — na to pozwolić sobie może tylko autor, którego sztuka idzie czterdziesty raz przy pełnej widowni. „Antychryst“ napędza ci pieniądze do kieszeni...

— Co ma „Antychryst“ do pijaństwa? — mruknął Karnicki. Lepiej skończcie pić wasz eliksir i opowiedźcie, co zajmującego mówił przed chwilą redaktor. Widzę, że Wienckowi aż oczy z orbit omal nie wyskoczyły.

— Twierdziłem, że Warszawa jest papuga, a twierdzenie swoje udowadniałem...

— Czem udowadniałeś?

— Oczywiście argumentem, nie pięścią...

— Słuszność swego twierdzenia udowadniałem balonikami — przerwał Wienczek.

— Doskonały argument, jak na nietrzeźwy stan — kąśliwie zauważył Karnicki.

— Otóż mylisz się. Jestem zupełnie trzeźwy i zaraz powiem, o co mi chodzi. Widzisz te baloniki, jak miarowo kołyszą się nad pustymi głowami tańczących. Każdy kawaler uważa za swój obowiązek kupić danserce taki balonik i przyczepia go na sznureczku do jej ręki...

— A do czego ma jej przyczepić? — przerwał udając powagę Karnicki.

— Nie przeszkadzaj — zniecierpliwiał się Goetlich. Naturalnie, że nie do ręki. Zeszłego roku wprowadzono tę balonikową modę w Paryżu, ale tam ma ona swój cel. Tam w dancingu w Montmartrze zbliża się kawaler z balonikiem w ręce do dziewczyny i prosi ją o shimmy. Gdy ona się zgadza, danser przykłęka i przymocowuje sznureczkiem balonik do jej kolana. Teraz mieszają się z tłumem tańczących, również z balonikami. Para, która potrafi w tłoku ocalić swój balonik, otrzymuje nagrodę. Oczywiście, że w czasie tańczenia każda para stara się zgnieść balonik sąsiadów. W ten sposób powstają nieraz bardzo śmieszne sytuacje, baloniki pękają z trzaskiem i dodają jeszcze kolorytu jazz-bandowi. Para ze zgniecionym balonikiem zostaje bezzwłocznie zdyskwalifikowana i musi opuścić tłum tańczących. Na końcu zostaje tylko tryumfator ze swoją partnerką, a publiczność sprawia im wrzaskliwą owację, przypija do nich szampanem. Znacie Francuzów — więc możecie sobie wyobrazić, jak znakomicie bawią się przy tych konkursach. Tu w Warszawie, kupi taki balonik, przywiąże go do ręki swej dziewczyny

i podskakuje z nim, jak zepsuty aeroplan, nie rozumiejąc nawet, po co nad nim balonik się kołysze. Chcemy imitować Paryż, tylko nie wiemy jak...

— Doskonale! Twój argument przemówił mi do przekonania. Widzę, że masz głowę pełniejszą od balonika — przytakiwał Karnicki.

Tymczasem na estradzie ukazała się jakaś przystojna, silnie wydekoltowana śpiewaczka. Nagie, białe ramiona odcinały się pięknie od czarnej sukni. Błada twarz, otoczona silnie ondulowanymi włosami, miała w sobie jakiś smutek. Oczy zadawały kłam wyzywająco obnażonym plecami i wykarminowanym, jak rana, ustom.

Akompaniator uderzył kilka akordów na rozklekotanym pianinie. Tony uderzyły w ściany nieakustycznej sali i pobiegły zduszone i zdławione między słuchaczy. Śpiewaczka miłym, cichym głosem śpiewała opowieść o kwiciarce ulicznej, akcentując słowa piosenki miękką rosyjską wymową:

*„O Sennora, Sennoritta,  
Jestem piękna Carmencitta,  
Cała pachnę fijołkami,  
I obdarzam was kwiatami,  
O Sennora, Sennores!“*

A gdy upłynęły lata i kwiciarka sprzedała wszystkie świeże kwiaty i oddała ulicy swą młodość, wtedy strącono ją jak podarty łachman z chodnika. Nie wzruszała już nikogo jej prośba:

*„Byłam piękna Carmencitta,  
Pachłam dawniej fijołkami  
Obdarzałam was kwiatami,  
O Sennora, Sennores!“*

Nikt starej nie wetknął solda do zeschłych palców, bo ulica uśmiecha się tylko do kwiatów, pokrytych rosą świeżości.

W oczach śpiewaczki błysły łzy, jakby sama przeżywała nieszczęście starej kwiciarki. Przy

ostatnim refrenie zdawało się, że głos jej wyłama się z ram bezdusznego akompanjamentu, a pieśń zakończy się prawdziwym szlochem.

Skończyła się pieśń o biednej kwociarce ulicznej, akompanjament przeszedł w rosyjską romancę. Śpiewaczka wdychiwała gorące powietrze, przepełnione dymem tytoniowym, traciła oddech. Sala miała dość tej tragifarsy, czekali z niecierpliwością na ostatnią zwrotkę, by zacząć tańczyć. Kilku podpitych młodzieńców rzucało w kierunku sceny uszczypliwe uwagi. Romanca wreszcie się skończyła, śpiewaczka uwolniła siebie i publiczność z kłopotliwej sytuacji. Zeszła z estrady na salę.

— Wiesz, ta czarna Rosjanka może się podobać, zauważył Goetlich.

Śpiewaczka zgrabnie mijała tańczących, szła na koniec sali. Karnicki wstał, podszedł do niej i prosił:

— Może pani uszczęśliwiłaby nasz stolik... Siedzę z dwoma przyjaciółmi w ponurym nastroju, a obecność pani niewątpliwie przełamałaby ten nastrój...

— Niestety, swego własnego przełamać nie jestem w stanie, a cóż dopiero pana i aż dwóch towarzyszy — powiedziała, mieszając wyrazy polskie z rosyjskimi — zresztą mam już towarzysza... Wskazała oczyma jeden z bliskich stolików...

— Kim jest ten pani towarzysz?

— Kandydat na stałego przyjaciela — zaśmiała się i poźegnała go lekkim skinieniem głowy.

Karnicki spojrzał na towarzysza nieznajomej. Nagle zetknął się z jego zimnym, ostrym wejrzeniem. Oczy nieznajomego zdradzały jakąś dziwną moc, wpiły się w Karnickiego, jak dwa ostre świdy. Zdawało się, że człowiek ten oczyma może przeniknąć ściany. Karnicki aż się cofnął pod wpływem tego dziwnego spojrzenia.

— A co? dostałeś kosza? — śmiał się Wiencek.

— Dostałem...

— Za wysoką stawiała ofertę?

—To nie, ale ma przyjaciela, jakiegoś straszego chama o bardzo niemiłych oczach.

Wienczek i Goetlich odwrócili głowy w kierunku stolika Rosjanki.

— Rzeczywiście, wygląda jak pogromca białych niedźwiedzi — z uznaniem powiedział Goetlich — potrafiłby człowiekowi wszystkie kości policzyć...

Karnicki zawołał kelnera, kazał przynieść nową flaszkę wina. Pili teraz w przyśpieszonym tempie. Goetlich coraz rzadziej mieszał się do rozmowy — z dziką zawziętością wycierał chusteczką twarz, na której co chwila występowały świeże krople potu. Wreszcie głowa jego zaczęła zataczać niepewne łuki, aż opadła na krawędź stołu.

— No, ten ma dość — stwierdził podпиты już Karnicki.

— Wystarczy nas dwóch dla tych kilku jeszcze flaszek, uśmiechnął się Wienczek, którego oczy zachodziły mgłą.

Jazz-band coraz głośniejszym takt, coraz wrzaskliwsze instrumenty mąciły harmonję. Ciężka atmosfera w sali z trudem pozwalała oddychać. Karnicki czuł nieznośne gorąco, starał się przełamać je coraz to nowym kieliszkiem mrożonego wina. Nareszcie wino dokonało swego. Przestał odróżniać twarze i sylwetki poszczególnych ludzi, widział tylko pstrą masę podrygującą i podskakującą w takt dzikiego shimmy. Od czasu do czasu niepokoiło go tylko wspomnienie dziwnych oczu towarzysza Rosjanki. Odwrócił się, by raz jeszcze zobaczyć te niesamowite oczy — stolik jednak, przy którym nieznajomy siedział, był już pusty.

— Może wyjdziemy już? — z trudem wyjąkał Karnicki do Wiencka.

— Musimy najpierw spróbować, czy nam się to uda — zastanawiał się poważnie zapytany.

Karnicki załatwił rachunek, z trudem podniósł się z krzesła. Wienczek chwycił go silnie pod ramię. Na dworze dniało.



U wyjścia z „Białego Pawia“ natknęli się na komisarza policji, bardzo wysokiego wzrostu, który stał z jakimś robotnikiem i bacznie ich obserwował. Karnickiemu, zdawało się, że wysoki komisarz policji powoli maleje, aż wreszcie głową dosięga jego kolan. To zjawisko dziwiło go i śmieszyło. Stał na przeciw komisarza i zaśmiewał się na całe gardło. Wreszcie z trudem utrzymując pozycję pionową, spytał:

— Czy pan zawsze nad ranem tak maleje?...

— Nie zawsze, tylko wtedy, gdy u pana termometr alkoholowy stoi wysoko — spokojnie odpowiedział komisarz.

Karnicki chwycił Wiencka pod ramię, silnie się na nim oparł. Podpora nie musiała być jednak mocna, bo wkrótce obaj zatoczyli ogromny łuk i uchwycili równowagę dopiero na środku jezdni. Potem brnęli przez gęsty śnieg, przytuleni do siebie tak mocno, jakby żadne przeciwieństwa losu już nigdy rozdzielić ich nie miały.

## ROZDZIAŁ IX.

### Pierwsze ślady.

Do gmachu sądu zmierzała szybkim krokiem młoda, nędznie ubrana kobieta. Poprawiała wyszarzały kołnierz skunksowy, broniąc się przed zimnymi strugami deszczu, pomieszanemi ze śniegiem. Stopy obciśnięte w niegdyś lakierowane pantofelki, obecnie łatanie płatami grubej skóry, wymijały zreżcznie brudne kałuże.

Pchnęła drzwi wejściowe i weszła do hallu. Chwilę rozglądała się nerwowo w tłumie publiczności, jakby szukając kogoś. Zbliżyła się do woźnego.

— Czy mógłby mnie pan poinformować, gdzie mieszczą się biura prokuratury?

Woźny podał numer drzwi. Młoda kobieta przebiegła schody pierwszego piętra, potem już wolno

i niezdecydowanie weszła w labirynt korytarzy staro gmachu sądowego. Zatrzymała się przed drzwiami, oznaczonemi wskazanym numerem.

W korytarzu przed prokuratūrą wyczekiwała grupka ludzi na swoją kolej. Na drewnianej ławce siedziała jakaś młoda, nędznie ubrana dziewczyna, przyciskając zniszczonymi od mydła i chlorku rękami niemowlę, opakowane jak tłumok w brudne łachmany. Obok niej rozparł się na ławie inwalida wojenny, szeroko rozstawił kikuty nóg, ubrane w resztki czarnych spodni i drzymał. Daszek podartej czapki wojskowej oparł się silnie na jego kości nosowej, pozwalając czapce w ten sposób utrzymać się w karkołomnej pozycji. Kaleka, chrapiąc, od czasu do czasu zmieniał gwałtownie pozycję, potrącając sąsiadkę i jej żywe zawiniątko.

Obok, na wilgotnej podłodze, siedział wysoki, rudy drab z naciśniętą mocno na oczy maciejówką. Kolana podsunął aż pod brodę i niespokojnym wzrokiem wodził po obecnych. Dziecko co chwila kwiliło, a wtedy drab zwracał kościatą twarz ku dziewczynie i ochryplym głosem warczał:

— A daj inwalidzie po zębach, żeby zamknął jadaczkę i dziecka nie trącał, nie czekaj, aż dziecku i tobie żebro przetrąci...

Kobieta odsuwała się jaknajdalej od śpiącego, bojąc się pogrożki rudego draba.

Obok okna stało kilku łobuzów i uzgadniało przed przesłuchaniem szczegóły jakiejś krwawej rozprawy na noże. Rudy drab mieszał się co pewien czas do ich rozmowy i mentorskim tonem dawał wskazówki, jak mają zeznawać. Łobuziaki patrzyły na draba z uznaniem i szacunkiem. Kilka osób spacerowało monotonnie wśród brudnych ścian wąskiego korytarza, na których węglem znaczyło się wiele podpisów stałej tutejszej klienteli.

Powietrze było tu nieznośne. Ckliwe zapach brudnej, gnijącej odzieży mieszał się z wydechem alkoholu i ordynarnego tytoniu.

Kobieta w skunksowym kołnierzu stała chwilę bezradnie w grupie szumowin podmiejskich, wreszcie nieśmiało nacisnęła klamkę u drzwi. W przedpokoju spostrzegła woźnego i prosiła go, by doręczył kartkę prokuratorowi. Woźny znikł za drzwiami, po chwili wrócił oznajmiając, że prokurator ją wzywa.

Zabielski kończył przesłuchiwanie jakiegoś młodego przestępcy, o bardzo solidnej budowie ciała, skutego stalowym łańcuszkiem. Gdy policjanci wyprowadzili go z gabinetu, prokurator zwrócił się zaraz do młodej kobiety:

— Uwiadomiła mnie pani przez woźnego, że chce złożyć jakieś ważne zeznanie w sprawie morderstwa przy ul. Chmielnej. Słucham pania.

Kobieta usiadła nieśmiało na krześle, drżącymi z zimna palcami odpięła wytarty płaszczyk i mówiła łamaną z rosyjska polszczyzną:

— Jestem Rosjanką, nazywam się Tatjana Iwanowna Szulgin. Z zamordowanym Gałkinem łączyły mnie bliższe stosunki...

Prokurator spojrział na nią, nie mogąc, zdaje się, pojąć, jak mogły tę niebrzydką młodą osobę łączyć bliższe stosunki z kaleką o potwornym wyglądzie. Ona widocznie zrozumiała zdziwienie w oczach Zabielskiego, bo zczerwieniła się i zaczęła gwałtownie tłumaczyć:

— Mówię źle po polsku, może nieściśle wyraziłam się, nazywając przyjaźń z zamordowanym, bliższym stosunkiem. Z inżynierem Gałkinem łączyła mnie przyjaźń. Nie wiem oczywiście, czy z jego strony była ona szczerą, ale długi czas zdawał się mnie jedną obdarzać zaufaniem. Wiara moja w jego szczerłość zachwiała się dopiero wtedy, gdy dowiedziałam się, że był płatnym prowokatorem, że wkraść się w nasze koła tak umiejętnie, że najpodejrzliwszych nawet wśród nas zdołał uspić...

— Powiedziała pani „wśród nas“, co pani przez to rozumie?

— Wśród nas, monarchistów.

— Ach więc pani jest monarchistką?

— Tak — szepnęła nieśmiało.

Otóż długo nie mogliśmy się pogodzić z myślą, że Gałkin był prowokatorem. Wydawało się nam wręcz nieprawdopodobnem, by człowiek, z którego ust padało tyle nienawistnych słów pod adresem oprawców własnego narodu, mógł być szpiegiem-najmitą. Niestety fakta, jakich dostarczyła nam polska policja wykazały, że byliśmy w tragicznym błędzie. Prowokatora braliśmy za największego fanatyka naszej idei. Dziś właściwie powinnam błogosławić rękę, która usunęła Gałkina ze świata, a nie dopomagać do jej wykrycia, ale sumienie każe mi powiedzieć wszystko, co w tej sprawie wiem. Ścigają mnie dalej jakieś dziwne wizje... Widzę zamordowanego. Wizję starałam się odgonić weronałem, potem bojąc się samotności, zapraszałam krewną na noc. Nic nie pomogło, wizja prześladowała mnie wszędzie. Wreszcie nerwy zaczęły mi odmawiać posłuszeństwa, przestałam spać. Wczorajszej nocy dostałam niespodziewanie jakiegoś ataku nerwowego. Twarz Tatjana Iwanowny Szulgin, była blada jak płótno, zbieleła usta chwytaly oddech.

Zdenerwowanie młodej kobiety zaczęło udzielać się i prokuratorowi. Zabielski uczuł jakiś chłód w sercu i dziwny niepokój, zdawało mu się, że tam w kacie, za regałem, na rozpiętej sieci siedzi jakiś wielki pająk, pokryty plamami krwi i wypukłemi oczyma hipnotyzuje młodą kobietę. Prokurator uczuł nawet piwniczny chłód, który bił na niego z za regała. Chciał nacisnąć guzik dzwonka i wezwać woźnego, aby przerwać sam na sam z tą kobietą, ale Tatjana Iwanowna zaczęła wolno uspakajać się. Chwilę układała myśli w jakimś porządku.

— Wyrzuty sumienia — mówiła — rozpoczęły się od wieczora, w którym byłam w teatrze. Wystawiano „Sąd nad Antychrystem“. W sztuce tej poznałam pracę... Gałkina.

— Nie rozumiem pani — przerwał prokurator.

— Proszę o chwilę cierpliwości, a zaraz wytłumaczę. Otóż Gałkin za życia swojego bardzo cierpiał, nie tylko fizycznie, ale przede wszystkim moralnie. Dziwny ten człowiek rozumiał, że wyglądem zewnętrznym może budzić wstręt u ludzi i dokładnie zdawał sobie sprawę z tego, że żadna kobieta nie byłaby zdolną go pokochać. Był słaby, a płuca przeżerała mu gruźlica. A chociaż kaleka i suchotnik, miał jednak chwile szczęścia i zapomnienia, było to wtedy, kiedy... pisał. Bogata fantazja iście rosyjska, pozwalała mu wyzwalać się z garbów, być młodym i pięknym, dokonywać wielkich dzieł. Zdaje mi się, że nie doceniał tego, co pisał. Przeciwnie, uważał pisanie za swoją słabość, z którą powinien się kryć. Do mnie jednej miał zaufanie. Intuicją wyczuł, że go nie wyśmieję, że zrozumię, iż on musi czasem zapomnieć o rzeczywistości, o swoim poczwarnym wyglądzie i o bliskiej śmierci. Wtedy zaczął mi czytać głośno swoje nowele, a przede wszystkim powieść. W miarę czytania, uważałam powieść za arcydzieło. Namawiałam go ustawicznie, by postarał się ogłosić ją drukiem. Spojrzał przerażony na mnie i chciał zaprzestać dalszego czytania. Tłumaczyłem mu wtedy, że jego powieść może dać tysiącom naszych braci, rozsypanych po świecie nadzieję i ukojenie.

„Bo czyż nie mogło budzić nadziei proroctwo Gałkina, że Rosja obecna, to tylko Rosja pokutująca, która bliską jest już odkupienia swych win? Sobie zatrzymał Gałkin rolę Motryna, młodego zdrowego człowieka, który wdziękiem i rozumem jedna sobie zaufanie mężczyzn i miłość kobiet.

„Rozumiałam, że Motryn był haszyszem dla Gałkina. Garbus przeżywał tę rolę, był piękny, głosił rzeczy wielkie. Całą fabułę powieści Gałkina znalazłam żywcem w sztuce Karnickiego „Sąd nad Antychrystem“.

Prokurator Zabielski słuchał opowiadania młodej Rosjanki z niezwykłym zainteresowaniem. Gdy po-

czątkowo uważał ją za osobę dotkniętą silnie histerją, to teraz zrozumiał, że jej wskazówki mogą być poniekąd istotne dla sprawy wyjaśnienia mordu Gałkina.

— Więc pani sądzi — spytał — że „Sąd nad Antychrystem“ nie jest utworem Karnickiego, że on po prostu ukradł Gałkinowi sztukę.

— Tak sądzę — spokojnie i bez wahania odpowiedziała młoda kobieta.

— A czy sądzi pani, że Karnicki targnął się na życie Gałkina, aby ukryć kradzież?

— Tego... to już nie wiem, wyświetlenie tej sprawy leży w rękach panów. Wiem, że Gałkin w ostatnim dniu przed śmiercią był dziwnie niespokojny i zdenerwowany, jakby się czegoś obawiał. Nie tał się nawet przedemną, że coś mu grozi. Nie chciał jednak powiedzieć co.

— To dziwne... Ale, czy zdaje sobie pani sprawę z tego, — spytał prokurator — że Karnicki nie napisał tylko „Sądu nad Antychrystem“, ale cały szereg potężnych rzeczy. Czy nie sądzi pani, że mogło być odwrotnie, że Gałkin chciał się przed panią pochwalić rzeczą, którą nie on napisał, aby w ten sposób dopiąć jakiegoś celu?

— Nie, to jest wykluczone. Gałkin nieraz w mojej obecności przerabiał niektóre rozdziały powieści. Radził się mnie, zmieniał, przeinaczał. W czasie przedstawienia w teatrze dokładnie rozróżniałam kolejność jego pracy. A zresztą „Sąd nad Antychrystem“, to jest krew i łzy Rosjanina, który płacze i tęskni na wygnaniu. Tęskni za krajem tą tęsknotą straszną i palącą, a tem okropniejszą, że... beznadziejną. Tylko dziesięć lat tęsknoty mogło wydać na świat fabułę, w której tkwi nadzieja i ukojenie, nie w rzeczywistości, ale w czemś nadprzyrodzonym — w wyroku Boskim. Tak ludzić się może tylko Rosjanin skłonny zawsze do mistycyzmu, czepiający się każdego błędnego ognika, jako promienia nadziei. Karnicki — jako Polak — nie mógł tego napisać...

— Przypuśćmy, że pani ma rację. Ale może pani wytłómaczy, w jaki sposób Karnicki mógł dojść do powieści Gałkina, jeśli ten tak się z nią taił.

— Nie wiem i tego wytłómaczyć nie mogę.

— Czy Karnicki znał Gałkina. Może żyli w przyjaźni.

— Nigdy ich razem nie widziałam, zamordowany nigdy nie wymieniał nawet jego nazwiska. W mieszkaniu Gałkina nigdy nie widziałam Karnickiego...

— A więc pani odwiedzała Gałkina.

— Tak, odwiedzałam go. W jego mieszkaniu czytaliśmy jego powieść, potem schodziliśmy się w cukierence na Wilczej...

— A skąd ta nagle zmiana miejsca?

Niespodziane pytanie prokuratora zbiło z tropu młodą Rosjankę. Jej blada twarz pokryła się rumieńcem, przeniosła wzrok z twarzy prokuratora na końce swoich łątanych bucików. Kilka sekund trwało kłopotliwe milczenie, wreszcie po namyśle mówiła:

— Od wczesnego dzieciństwa odznaczałam się niezwykłą wrażliwością. Wrażliwość ta, zamiast z wiekiem znikać, potęgowała się. Dowodem tego wizje, o których panu mówiłam. Otóż osiłą przyjaźni dla Gałkina była przede wszystkim litość. Wiedziałam, że Gałkin jest osamotniony i żal mi go było. Żal mi było, że był kaleką i potwornie brzydkim i nikt dla niego nie jest w stanie wykrzesać nawet uczucia sympatii. Pierwsza zbliżyłam się do niego.

„Po kilku już dniach przekonałam się, że Gałkin jest człowiekiem niezwykle inteligentnym, ale fantastą, dającym się powodować, a były chwile, że uważałam, iż jest na pograniczu obłądu czy genjalności. Opowiadał tak zajmująco, że zapomniałam nieraz, o jego brzydocie. On mnie rozumiał, ja jego. Ze swoich słabostek nie wyśmiewaliśmy się nigdy. Gałkin często zapadał na zdrowiu, mieszkał zaś w trzeciorzędym hotelu, gdzie go nie lubiano. W czasie więc choroby byłam jedynym jego opiekunem. Po-

tem przyznał się, że pisze powieść. Gdy czytał mi ją, byłam tak treścią pochłonięta, że nie zdawałam sobie często sprawy, gdzie jestem i kto obok mnie siedzi.

„Jednego dnia czytał, a ja zapadłam w jakiś trans zaśluchania i nagle uczułam, że czyjaś ręka obejmuję mnie w pól i silnie przyciąga ku sobie. Ocknęłam się dopiero wtedy, gdy uczułam ciepły oddech na swojej szyi. Odwróciłam się szybko i spostrzegłam spieczoną gorączką usta. Sekundę patrzyłam na te usta z przerażeniem, widziałem, że rozsuwają się w lubieżnym uśmiechu. Ogarnął mnie strach. Wyrwałam się z objęć Gałkina i biegłam bez tchu po ciemnych schodach, by jaknajprędzej znaleźć się... między ludźmi.

„Ten wieczór zakłócił między nami harmonję. Zaczęłam podejrzewać, że jest nieuczciwym, nie miałam jednak sił opuścić go. Spotykaliśmy się już, ale w cukierence na Wilczej. To był powód zmiany miejsca spotkania, który tak ciekawił pana prokuratora“ — odpowiedziała z wyrzutem, iż zmuszono ją do odnowienia bardzo przykrego wspomnienia.

W oczach Zabielskiego zajaśniało współczucie.

— Przepraszam panią, że dotknąłem przykrej dla niej sprawy. Sądziłem, że pytam o ważny dla śledztwa szczegół. A teraz może powie mi pani w jaki sposób tłómaczyć sobie przedostanie się treści powieści Gałkina do wiadomości Karnickiego.

— „Na to pytanie nie mogę dać poważnego wyjaśnienia. Podać mogę jednak szczegół, który może naprowadzić pana na jakiś ślad. Otóż wiadomość o morderstwie i wyjaśnienie podłej roli, jaką Gałkin wśród nas odgrywał, podziałały na członków naszego związku, jak uderzenie pioruna. Byliśmy ogłuszeni. Brat nie doweirzał bratu. Mnie, która byłam najbliższą Gałkina, wzięto z związku pod obserwację, również policja opiekowała się mną specjalnie, sądząc, że jedynie ja mogę dać jakieś bliższe wyjaśnienia o morderstwie. W urzędzie śledczym wypytywano mnie sto razy o jeden i ten sam szczegół,



czekano, aż się zmęcze i wpadnę w jakąś sprzeczność w zeznaniach. Zrozumiałam, o co chodzi. Przeciw mnie jednej myślało czterech komisarzy policji, badając szczelność logiczną każdej mojej odpowiedzi. Bałam się, że nerwy moje nie przetrzymają i że zawikłam się w sprawę, z którą nie miałam nic wspólnego. Na każde więc pytanie policji, starałam się dawać jedną i tę samą odpowiedź: — Nie wiem.

„Pokazywano mi każdą ćwiartkę papieru, znalezionej w mieszkaniu zamordowanego, o każdej mówiłam: — Nie wiem, nigdy jej nie widziałam... Dziś jednak zmieniam swe zeznania. W stosie zapisanych papierów rozpoznałam kilkanaście kartek powieści Gałkina. Na kartkach tych widniały rdzawe ślady krwi. Reszty rękopisu nie pokazano mi, więc przypuszczam, że policja nie znalazła go w mieszkaniu przy ulicy Chmielnej“.

— Więc sądzi pani, że rękopis zaginął?

— Tak sądzę.

— Czy rękopis był duży?

— Składał się z kilkuset stron szerokiego pisma.

— A nie podejrzawa pani, kto mógł usunąć rękopis?

— Sądzę, że tylko ten, kto powieść wykorzystał i podpisał się na cudzej pracy, jako autor.

— I uważa pani, że ten strach i obawa, które objawiały się w kilka dni przed morderstwem u Gałkina, mogły pochodzić z powodu jakichś planów Karnickiego?

Skinęła potakująco głową.

Prokurator zamyślił się głęboko. Szczegóły, o jakich dowiedział się przed chwilą, kierowały sprawę na zupełnie nowe i najmniej spodziewane tory. Wpłatanie nazwiska głośnego dramaturga do sprawy morderstwa niweczyło za jednym zamachem całe śledztwo pierwiastkowe, które szukało pobudek morderstwa w nienawiści politycznej. Teraz wychodziło na jaw, że w grę wchodzi kradzież literacka.

Najmniej chyba o nią podejrzewać można było Karnickiego, który w literaturze miał już poważny dorobek. Nagle poczęły prokuratora ogarniać wątpliwości.

Czy można tej kobiecie bezwzględnie ufać? Czy nie jest prawdopodobnem, że stracił czas na rozmowie ze zdecydowaną histeryczką, którą teraz ścigają jakieś wizje, a za tydzień zaś będzie w domu obłąkanych?...

Coraz silniejsze wątpliwości wgrzyzały się w mózg Zabielskiego. Spojrzał niechętnie na młodą Rosjankę. Jej twarz blada, oczy, jakby sztucznie rozszerzone, utwierdzały go w przekonaniu, że istotnie zmitrężył godzinę na niepotrzebnej rozmowie. Pod wpływem tego przekonania, zaczął się sam na siebie irytować i wyraźną już niechęcią zwrócił się do Tatjany Iwanowny Szulgin:

— Czy może mi pani dać jeszcze jakieś wyjaśnienia w sprawie tego morderstwa? — spytał cierpko.

Młoda kobieta zaprzeczyła ruchem głowy.

— W takim razie dziękuję pani za informacje, wezmę je pod rozwagę, a możliwe, że wpłyną na losy śledztwa.

Rosjanka wstała z krzesła, wyszła cicho z gabinetu prokuratora.

— Napewno straciłem czas na rozmowie z warjatką — powiedział Zabielski głośno do siebie, po wyjściu oryginalnego świacka. — Że ja też dałem się tak łatwo wziąć na kawał i nawet przeżywałem z nią razem jakieś zwarjowane wizje... — czynił sobie gorzkie wymówki.

Łączność osoby Karnickiego z morderstwem wydała się Zabielskiemu tak nieprawdopodobna, że aż śmieszna. Sięgnął ręką do dzwonka, aby wezwać woźnego, gdy drzwi jego gabinetu uchyliły się i w szparze ukazała się głowa komisarza policji, Borewicza.

— Proszę wejść — zawołał prokurator.

Drzwi otwarły się szeroko i do gabinetu wszedł olbrzymiego wzrostu komisarz policji.

— Cóż to komisarz ma tak zgnębiałą i zmartwioną minę — spytał Zabielski.

Twarz komisarza policji nie roz pogodziła się, zdawała się nawet być bardziej zasmucona.

— Ano straciłem dzisiaj noc, zmarzłem jak pies, zdawało mi się, że wreszcie ustrzelę grubą zwierzynę i spudłowałem — żalił się Borewicz.

— Pocóż pan strzelał po nocy, w dzień mniej się pudłuje... — zakpił prokurator.

— „Nabił mnie w butlę“ dozorca domu przy Chmielnej, gdzie mieszkał Gałkin. Od pół roku zwodzi mnie ten człowiek, twierdząc, że stanowczo pozna tego, który w dniu morderstwa uciekał po schodach. Z pięćdziesiąt eskapad z tym człowiekiem zrobiłem, płaciłem mu kolacje z wódką i każda kończyła się niczem. Do najgłupszej jednak eskapady należała chyba wczorajsza.

„Śpię spokojnie w domu, gdy o drugiej w nocy dzwoni do mego mieszkania dyżurny i melduje, że do komisarjatu przyszedł stróż z Chmielnej i twierdzi, iż „ten pan“ pojechał dorożką do „Białego pawia“. Wygrzebałem się z ciepłej pościeli, pędem biegnę do komisarjatu. Razem ze stróżem jedziemy taksówką do kabaretu. Portjerowi poleciłem wpuścić tego obdartusa do sali, sam oczywiście nie wszedłem, aby nie budzić żadnych podejrzeń. Stróż wraca po chwili i z niesłychaną radością donosi, że „ten pan“ siedzi z dwoma innymi przy stole i pije. Wiem, że do „Białego pawia“ prowadzi drugie wyjście przez bramę. Usadawiłem się więc na ulicy tak, że stałem ze stróżem między głównym wejściem, a bramą, mając kądrego na oku, kto z kabaretu wychodził.

„Mróz w nocy był straszny. Po godzinie zdrewniałem jak kłoda. Wreszcie o szóstej rano wywała się na powietrze dwóch zawianych gości. Stróż ścisnął mnie za rękę i szepece do ucha: „Panie komisarzu, to ten wyższy. Przez sen poznałbym tego łobuza“.

„Nie wiem, czy jeden z nich słyszał, co stróż mówił, dość, że podszedł do mnie z jakimś pijackim

dowcipem, potem obaj skierowali się na Krakowskie Przedmieście i pod „Bristolem“ wsiadli w taksówkę, my oczywiście w drugą. Na Placu Trzech Krzyży ich taksówka stanęła i niższy wysiadł. Drugi pojechał dalej w Aleje Ujazdowskie i skręcił w Natolińską.

„Przyczailiśmy się za węglem i obserwujemy. Taksówka zatrzymała się przed jakąś kamienicą i szofer z trudem wyladował gościa z automobilu do bramy. Załedwie stróż go wpuścił, dzwoniemy. Wychodzi szwajcar i pytam, kim jest ten podchmielony pan. Szwajcar uśmiechnął się i mówi: — Nie zna go pan komisarz, to wielki autor, pan Karnicki...

„Rozumie pan prokurator! mało w łeb nie strzefilem temu łobuzowi stróżowi. Całą noc wymarzęm, aby wleźć na... Karnickiego“.

Ale twarz prokuratora wyrażała poważne zamyślenie, na czole zarysowała się głęboka bruzda.

— Więc to był Karnicki? — spytał Zabielski, biedząc się ciągle jeszcze z myślami.

— Tak, ten głupi człowiek upiera się, że właśnie Karnicki biegł po schodach i omal go nie potrafił.

— A wie pan, panie komisarzu, że ten stróż może nie jest tak głupi, za jakiego go pan uważa... I możliwe, że dzisiejszej nocy pan nie spudłował...

— Pan prokurator chyba żartuje? — spytał porweczno Borewicz.

— Nie, nie żartuję, koło śledztwa, które pan prowadzi dziwnie się zazębiło z mojem...

— Co pan prokurator przez to rozumie?

Zabielski opowiedział komisarzowi policji o niezwykłych zeznaniach młodej Rosjanki.

Borewicz słuchał z tak natężoną uwagą, że na niskim czole wystąpiły mu dwie grube niebieskie żyły.

## ROZDZIAŁ X.

## Aresztowanie.

Karnicki z ulgą powitał świt. W czasie bezsennej nocy łóżko wydawało mu się jakimś przeklętym narzędziem tortur, niewysłowienie małą przestrzenią, do której zmuszony był ograniczyć się przez szereg długich, jakby niekończących się nigdy godzin. Zmęczone źrenice doznały ulgi, gdy barwa sufitu zaczęła się zmieniać na popielatą i na sztukaterjach sufitu błysnął wreszcie pierwszy promień słońca.

Dochodziła ósma. Wstał szybko z łóżka, zapalił papierosa. Rozgorączkowane w czasie bezsennej nocy myśli zaczęły stygnąć, nerwy nie wibrowały tak szybko. Z nastaniem słonecznego dnia uspakajał się coraz bardziej. Zagasił papierosa, ubrał ciepłą pyjamę, usiadł w głębokim fotelu. Z nienawiścią patrzył teraz na łóżko, na zmiętą pościel.

Stanowczo muszę poradzić się lekarza — myślał — raz trzeba zrobić porządek z nerwami.

Weszła pokojówka z pełnym naręczem drzewa i wiadrem węgla. Za chwilę zabłyśły w piecu wesole języki ognia. Karnicki przysunął fotel blisko pieca. Zdawało mu się, że ciepło przenika do jego organizmu, ogrzewa każdą komórkę, wnika nawet do mózgu, który zdawał mu się niedawno bryłą lodu. Ciepło zaczęło sprowadzać miły bezwład ciała. Siedział nieruchomo w fotelu, patrzył bezmyślnie na tarczę szafkowego zegara, za leniwy, by wstać i sięgnąć po nowego papierosa, chociaż chciał palić.

Służąca wniosła tacę ze śniadaniem, połączyła duży niklowy czajnik z kontaktem elektrycznym.

Karnicki przypomniał sobie, że o godzinie dziesiątej miał przyjść do niego Wiencek i razem mieli pójść na wystawę do Zachęty. Spojrzał na zegar: dochodziła dziewiąta. Wstał więc z fotelu, przeciągnął się, aby wyprostować po bezsennej nocy obolałe kości i szybkim krokiem przeszedł do łazienki. Kil-

kuminutowa gimnastyka i zimny prysznic przywróciły mu zupełnie sprężystość mięśni, starły ślady bezsennej nocy. Po kąpieli czuł się tak doskonale, że uśmiechał się nawet sam do siebie.

Wrócił do pokoju. Służąca otworzyła okno, przez które, uderzały, jak kłęby dymu, fale świeżego powietrza. Promienie słońca wyłocili cały pokój igrały wesoło po meblach, po niklowym czajniku i błyszczącej zastawie. Karnicki czuł się coraz lepiej. Nieprzespana noc, wydawała mu się tak odległa, jakby o lat kilka, a koszmary i złe przeczucia tak nieprawdopodobnymi, jakby nigdy nie wylegały się w jego głowie.

— Dochodzę do niebezpiecznych przejawów neurastenji — myślał — ma rację Trzysiński, muszę wyjechać na południe. To rzeczywiście jedyny sposób powrotu do normalnego systemu myślenia.

Przez otwarte okno wiatr zaczął wpędzać do pokoju drobny pył śnieżny. Karnicki zamknął okno, skończył toaletę i nalał w filiżankę mocną herbatę. Spojrzał znów na zegarek: dochodziła dziesiąta. Nacisnął dzwonek, a gdy weszła pokojówka, spytał:

— Czy pani śpi jeszcze?

— Tak proszę pana. Pani nie ma dziś próby i prosiła, by ją obudzić dopiero w południe.

— Za kilka minut — przyjdzie tu pan Wienczek. Proszę wprowadzić go do mego pokoju, ale tak cicho, aby pani nie obudzić, proszę przynieść drugie nakrycie do herbaty.

Pokojówka wyszła, by spełnić polecenie, gdy w przedpokoju rozległ się krótki i ostry głos dzwonka.

— Widocznie Wienczek nie wykupił jeszcze zegarka z lombardu, jeśli tak wcześnie przychodzi... — pomyślał Karnicki.

Z przedpokoju doszedł go odgłos otwieranego zatrasku, potem słyszał, jak jakiś głęboki bas wypytywał o coś pokojówkę. Usłyszał wreszcie odgłos stapania kilku twardych butów.

— Cóż to za procesja? — zdziwił się i wstał od stołu, by wyrzucić na korytarz.

Zaledwie jednak otworzył drzwi, spotkał się oko w oko z komisarzem policji przynajmniej o głowę wyższym od niego. Cofnął się nerwowo do wnętrza pokoju. Za nim wszedł komisarz i dwóch ludzi w cywilnych ubraniach, prawdopodobnie wywiadowców policji.

— Czy pan Ludwik Karnicki? — spytał komisarz.

— Tak... to ja jestem — ale nie rozumiem dlaczego panowie tak bez skrępulów wchodzą do mego pokoju...

— Pan wybaczy, ale policja jest zawsze niedyskretna — odpowiedział komisarz, a w jego oczach zatliły się iskry złośliwości.

— A czy wolno mi przynajmniej spytać, czemu zawdzięczam te wczesne odwiedziny?

— Tylko zarządzeniu prokuratora, nie nasza wina — usprawiedliwił się komisarz.

— Czego panowie sobie życzą?

— Z rozporządzenia prokuratury mamy przeprowadzić w pańskim mieszkaniu rewizję.

— Ale o co jestem posądzony? — zapytał, blednąc.

Komisarz policji rozłożył bezradnie ręce i z bolesną miną tłumaczył:

— Nie wiem. Jesteśmy tylko władzą wykonawczą, wykonujemy polecenia. Tu jest rozporządzenie na piśmie... — sięgnął nerwowym ruchem do kieszeni, wyjął ćwiartkę papieru i wręczył ją Karnickiemu.

Karnicki rozłożył papier, przeczytał rozkaz prokuratury, opatrzony podpisem Zabielskiego i pieczęcią państwową.

— Widzi pan — mówił dalej komisarz policji, nadając swemu głosowi jakiś komedjancko-pieszczotliwy ton, że nie my ponosimy winę, a teraz proszę usiąść, a rewizję przeprowadzimy szybko i bez rozgłosu...

Karnicki wyjął z kieszeni pęk kluczy i wręczył je komisarzowi:

— Proszę oto są klucze, a czy ja przynajmniej mogę wyjść?

— Niech Bóg broni — odpowiedział olbrzym, wykonując ręką taki ruch, jakby mu chciał zagrozić drogę i zaraz usprawiedliwił swój zakaz słowami:

— Rewizja musi się odbywać zawsze w obecności tego, u którego ją się przeprowadza. Zresztą moglibyśmy coś niebezpiecznego podsunąć, czy podrzucić... Czyta pan o takich sprawach w gazetach — roześmiał się rubasznie.

Karnicki czuł się bezsilny, usiadł bezwładnie w fotelu. Jeden z wywiadowców cicho jak kot przysunął się do niego, stanął za plecyma. Komisarz policji i drugi wywiadowca otworzyli szuflady biurka i wyladowali na fotele całe pliki korespondencji i rękopisów. Oczy komisarza z łapczywością biegały po każdym świstku papieru.

Karnicki wpadł w apatię. Zdawało mu się, że jest tylko niemyym świadkiem jakiejś sprawy, która zupełnie go nie dotyczy. Przestał myśleć o tem, czego ci ludzie chcą. Jego myśli krążyły ustawicznie około atletycznej postaci komisarza.

— Gdzie ja tego człowieka widziałem?... — biegał się nad rozwiązaniem zagadki. Przeskakiwał w myślach czasy zaboru rosyjskiego, potem lata spędzone w głębi Rosji na uchodźstwie, nie mógł jednak przypomnieć sobie osoby tego brutala. Nagle myśli jego przebiegły do przeżytych ostatnich dni. Przypomnił sobie: — tam u wyjścia z „Białego Pawia“ stał podobny olbrzym w mundurze policjanta. Nawet coś do niego mówiłem... — Może teraz mści się za to...

Obawy Karnickiego pobiegły nagle w innym kierunku: lada chwila przyjdzie tu Wienczek i po całym mieście roztrąbi o rewizji. Zdjął go strach. Natężył słuch, czy nie usłyszy dzwonka. W mieszkaniu panowała jednak cisza.

Policja wyladowywała ostatnie papiery z biurka, gdy komisarz natrafił między papierami na gruby rękopis, pisany fioletowym atramentem, wolno prze-



glądał policjant jedną kartkę po drugiej, potem zbliżył się do Karnickiego i spytał:

— Czy mógłby mi pan wyjaśnić czyj jest ten rękopis?

Karnicki spojrział na papier i zbladł śmiertelnie. Z trudem zdołał wyjąkać:

— To jest rękopis jednego Rosjanina...

— A jak się ten Rosjanin nazywa?

— Nazywa się... Gałkin.

Komisarz wyjął z kieszeni kilkanaście kartek, podobnych formatem do rękopisu, zapisanych takim samym pismem. Na kartkach widniały krople krwi.

Karnicki odwrócił głowę, jakby bał się spojrzeć na krew. Komisarz wpił się wzrokiem w jego bladą twarz. Wreszcie z tłumioną pasją spytał:

— Czy przyzna pan, że trzymam w ręce brakujące kartki rękopisu, który znalazłem w biurku?

Karnicki nie odpowiedział.

Komisarz policji wpadł teraz w doskonały humor.

— Wobec takiego cudownego odkrycia w pańskim biurku, zmuszony jestem przedstawić pana osobiście panu prokuratorowi. Jemu wytłumaczy pan, skąd się wziął u pana rękopis człowieka, który dawno już przestał chodzić po świecie. Panu prokuratorowi opowie pan, jak go pan wydostał, czy przypadkiem nie uderzył pan młotkiem po głowie człowieka... Proszę ubrać palto, jest pan aresztowany...

Karnicki wstał z fotelu, jak automat. Zdawało się, iż nawet kropla krwi nie krąży pod skórą jego twarzy. Chciał postąpić krok naprzód, ale zachwiał się i omal nie upadł. Komisarz ujął go szybko pod ramię. Wolnym krokiem weszli do przedpokoju. Wywiadowca pomógł aresztowanemu włożyć palto, odszukał jego kapelusz.

Gdy odkręcili zatrząsk, otworzyły się nagle boczne drzwi i w framudze ukazała się Krzeszówna. W jej oczach malowało się przerażenie, wzrokiem przeskakiwała z atletycznej postaci komisarza na złamaną postać swego przyjaciela. Widocznie nie rozumiała, co ta niezwykła scena znaczy. Z zaciśnię-

tego przerażeniem gardła wydobyło się wreszcie pytanie:

— Ludwiku! co ci ludzie chcą?

Karnicki patrzył na nią długo szklanemi oczyma. Komisarz policji pociągnął go jednak za sobą. Wyszli na klatkę schodową. Oczy Karnickiego patrzyły teraz pożądliwie poza poręcz w przepaść drugiego piętra, zakończoną na dole barwnemi taflami. Przepaść ta ciągnęła go silnie. Zdawało mu się, że doznałby nadzwyczajnej ulgi, gdyby nagle uczuł silny prąd powietrza, a potem uderzył głową w tą wrzorstwą posadzkę kamienną. Komisarz trzymał go jednak mocno pod ramię.

Gdy wyszli za bramę — spostrzegł Karnicki duży popielaty automobil. Przy kierownicy siedział posturkowy policji. Bezwiednie, jak lunatyk, skierował się do drzwiczek tego automobilu.

— Nie jest piękne auto, ale dobre — żartował komisarz. — Gwarantuję, że zajedzie do celu...

Za chwilę motor warknął złowróźnie.

## ROZDZIAŁ XI.

### W więzieniu.

Karnickiego zbudził niezwykły ruch i dziwny gwar. Ktoś świecił mu latarką prosto w oczy, klepał go po ramieniu, nawet coś do niego mówił, ale jego ogarnął jakiś straszny bezwład. Głowa ciężyla mu jak ołów. Nadewszystko czuł straszną suchość w ustach i nieznośne pragnienie. Oddałby wszystko za szklanekę zimnej wody...

Klepanie po ramieniu stawało się coraz silniejsze, coraz natarczywsze, wreszcie ktoś starał się siłą zmusić go do zmiany pozycji. Otworzył oczy i nie zrozumiał zupełnie, gdzie się znajduje. Jakiś długi, wąski pokój o jasno bielonych ścianach, duszne powietrze i przykry zapach jodoformu. Wreszcie ten człowiek w popielatym ubraniu, który nie wiedzieć dlaczego starał się go postawić na nogi.

— Gdzie ja jestem? — pytał sam siebie, starając się całym wysiłkiem woli odzyskać przytomność. Nie mógł jednak pozbierać myśli. Wreszcie ktoś zaczął gwałtownie nim potrząsać, sprawiając mu ten dotkliwy ból w żebrach i w kręgosłupie.

— Panie! już szósta, proszę wstać! — krzyczał do niego człowiek, odziany w popielaty mundur.

Karnicki ściągnął wreszcie nogi z jakiegoś tapczanu i zaczął ciekawie rozglądać się wkoło. Teraz przytomność wracała ze zdwojoną szybkością, jakby centra mózgowe chciały nadrobić poprzednią bezczynność. W jednej sekundzie przypomniał sobie wszystko. Rewizję, poczekalnię przed biurem inspektora policji, w której paliła się lampka oliwna przed obrazem Matki Boskiej Częstochowskiej. Było to na Daniłowiczowskiej — a wreszcie męczące przesłuchiwanie policyjne prawie aż do wieczora i scenę z tą straszną maską...

— Panie, proszę łóżko zaścielić i zjeść śniadanie! — przerwał jego myśli człowiek w popielatym mundurze.

Karnicki wstał, bezwładnymi rękami chwycił koce i siennik, wykonywał nieokreślone, bezcelowe ruchy.

Dozorca więzienny, widząc jego bezprzytomność, sam ułożył siennik i przytrzasnął żelazne łóżko ku ścianie.

Teraz Karnicki stał bezradny, nie wiedząc, co ze sobą począć. Dozorca przysunął nogą drewniany zydel.

— Pij pan herbatę!

Zobaczył na stole blaszane naczynie i kromkę czarnego chleba. Pragnienie dokuczało mu straszliwie. Ujął blaszankę w obie ręce, przechylił ją do ust. Połykał jakiś gorący, mdły płyn. Ciepło blaszanki zaczęło jednak przyjemnie działać na jego zmarznięte palce. Spieczoną gorączką usta piły chciwie. Dozorca obserwował chwilę nieprzytomnego i bezradnego więźnia, potem nacisnął obydwoma rękami ciężkie okute drzwi dębowe i wyszedł z celi.

— Panie! ale ta herbata, to chyba krajowa z wierzby — usłyszał Karnicki obok siebie jakiś głos. Odwrócił głowę i spostrzegł w mdłej poświacie zimowego ranka jakiegoś młodego, silnie zbudowanego człowieka w czarnej, przykrótkiej marynarce. Człowiek ten miał obandażowaną rękę. Karnicki zrozumiał teraz skąd pochodzi ten niemiły zapach jodoformu.

Młody człowiek patrzył na niego natarczywie, w oczach przebijała się ciekawość i chęć zawiązania dyskusji. Wsunął zdrową rękę do kieszeni, wydobył dwa pogięte brudne papierosy i podał je Karnickiemu, mówiąc ze współczuciem:

— Wczoraj strasznie żal mi pana było. Jak pana przyprowadzili, myślałem: Zamykają mnie z warjatem. Patrzył pan ciągle na mnie, a jakby nic nie widział. Potem stał pan długi czas o tu, w tym kącie i ani kroku naprzód, ani w tył, a zęby panu tak dzwoniły, jakby ze strachu. Myślę, jakiś porządny facet, a i futro porządne — wiadomo chłop — „z lekkiego chleba“.

„Gadam po pana i z tej i z tamtej strony, a pan tylko zębami dzwoni. Potem, nie wiem co panu było, czy nogi tak bolały, czy osłabł pan, a może w komisariacie dali panu kije, dość, że upadł pan na ziemię jak długi. Podniosłem pana, zdjąłem te jesiotry i nakryłem pana nimi, a nieruchliwy pan był, jak sien-  
nik...“

— Bardzo dziękuję, ale nie pamiętam wczorajszego wieczoru, — z wdzięcznością powiedział Karnicki.

— Ooo, to nie dobrze. W policji mógł pan nabredzić jak w gorączce, a potem trudno się będzie wywinąć. Pan wie, że przy przesłuchaniu jest dziesięć „palmiarzy“, a na rozprawie to zeznają tak równo, że zawsze zasypią najporządniejszego człowieka. Mnie tam wszystko jedno i tak czeka mnie „gir“.

— Nie rozumiem pana?

— Nie rozumie pan, co znaczy „gir“?

— Młody chłopak wykonał zdrowa ręką naokoło

szy gest, jakby zaciśkał pętlę, potem z niewzruszonym spokojem mówił dalej:

— Ano trzeba będzie pomaszerować na fort św. Florjana, pan wie, tam, skąd się nie wraca ani do Warszawy, ani na Pragę, a tylko idzie się na sąd Boski...

— Żartuje pan chyba — spytał Karnicki nie przypuszczając, że zamknięto go w celi z tak wielkim przestępca.

— Iii! Tam żartuję... właśnie prawdę gadam... Mówił mi dziś ten dziobaty dozorca, że stanę przed doraźnym, pan wie już o tym kantorze Rebszejda przy Placu Bankowym. Było nas trzech. Cwaniaki uciekły, a ja wsiakłem. Byliby mnie nie złapali, ale pistolet hiszpański zaciął się. Na Senatorskiej ostrzeźliwali mnie dranie, aż proch z muru leciał, ja oczywiście odpowiadałem i jednego zwałem w błoto, ale patrz pan, rękę mi postrzelili i pistolet się zaciął... Wpadłem jak mucha w pajęczynę, a na policji chcieli, abym powiedział, jak się tamci dwaj nazywali. Ani słowa nie powiedziałem, choć grozili strasznymi rzeczami...

— Ach to pan brał udział w napadzie bandyckim na ten kantor wymiany, w którym zastrzelono buchaltera?

— Ja. I myśli pan, że szedłem tego Żyda mordować. Szedłem po pieniądze i to nie dla siebie... Mnie tam wystarczyła tygodniówka, bo pracowałem jako monter w „Pocisku“ i jeszcze matce dawałem, co jest wdową po listonoszu, a emerytury to ma 15 złotych na miesiąc... Mnie tam pieniędzy nie było potrzeba...

— A komu? — spytał Karnicki zaciekawiony opowiadaniem.

— Komu? — pyta pan. Mojej dziewczynie. Pannie, to nie była pierwsza lepsza frajerka, to była klawa dziewczyna. A taka inteligentna, że mógł ją pan wziąć pod pachę i zaprowadzić nawet do Bristolu, a tam byliby się dziwili, skąd taka ładna dziewczyna przy panu...

„Tak panie, to była bardzo porządna dziewczyna. Zapłaciłem jej w niedzielę kino, to dobrze — a nie zapłaciłem — to także dobrze. Śmiała się do mnie i kochała mnie. Chciałem się z nią nawet żenić, ale w lecie jakiś czort mnie zaniósł do Parku Skaryszewskiego. Tańczyli tam w altanie, a nas też ochota wzięła do tańca. Wiadomo, młodzi. Weszliśmy, siedli przy stoliku, a za minutę siadło koło nas kilku moich kolegów. Przyprowadzili jakiegoś fryzjera. Pan wie, takiego „brzytwkę“, co to wylizany, pachnie różnymi olejkami i ze cztery grzebyki ma w kieszeni.

„Brzytwka“ przypalił się do mojej dziewczyny i jazda ją pytać, czy też najnowsze filmy widziała, czy tańczy jakieś shimmy. A skakał, śmiał się i zapraszał ją do tańca. Patrzą — chłop tańczy i nogami suwa, jak ślepy kot po rozpalonej blasze. Wieczorem wracaliśmy razem. „Brzytwka“ wciąż koło mojej dziewczyny, wciąż jej coś do ucha gada, a ona to czerwienieje, to błednie i uśmiecha się do łobuza.

Odprowadziłem ją do domu, a gdy stróż zamknął bramę i sam zostałem na ulicy, to zdawało mi się, że nieszczęście wlecze się koło moich nóg, jak pies bezdomny. Chciałem się rzucić na ziemię i płakać. Potem znów dopędzić „brzytwkę“ i zadusić go temi rękami. Całą noc nie spałem, a przewracałem się z боку na bok, że stara matka pytała, co mi jest.

„I od tego przekłętą wieczoru wszystko się zmieniło... Dziewczynie, jakby kto duszę odmienił. Pachnie już takimi olejkami, jak „brzytwka“ i codziennie męczy mnie o pieniądze. Wiem, że chodziła do niego. Alem jej nie przyłapał. Raz, to padłem jej do nóg i po butach całowałem, prosiłem, aby była inną. Nie pomogło. Raz, to znów ją zbiłem, że siniak na siniaku siedział na plecach. Także nie pomogło, i dawałem pieniądze to na kino, to na sweter, to na pończochy.

„Nie starczyło tygodniówki, choć robiłem nadgodziny, a i fuzerkę w domach prywatnych. Jeszcze nie starczyło. Zacząłem pożyczać, potem rzeczy wynosić na Kercelak. Do chałupy bałem się przychodzić,

Bo tam stara matka płakała, chodziłem do szynku. Będzie dwa tygodnie, jak dostałem fuszerkę przy dzwonek w kantorze Rebszejda. Pieniędzy to widziałem, jak piasku i nasze polskie i dolary i jakieś angielskie. Podpatrzyłem, kiedy wychodzą na obiad i kto w kantorze zostaje. Potem zmówiliśmy się z dwoma jeszcze, że w sam obiad zajrzemy do kantoru. Ano zajrzeliśmy i tu jestem...“

Rana w ręce musiała mu widocznie bardzo dolegać, bo wstał, z pasją kopnął zydel aż potoczył się pod okno i mierzył krokami wąską cełę. Z zaciśniętych szczęk dobywał się co chwila krótki syk. Zdrową ręką podtrzymywał bandaż, a w oczach malował się taki ból, jak u rannego zwierzęcia.

Karnicki wodził wzrokiem za młodym przestępcą i w duszy jego zaczęło się nagle budzić jakieś nieokreślone uczucie, coś jakby uczucie wspólnoty losów z tym człowiekiem.

Przez małe, silnie okratowane okienko wpadało do celi światło jasnego dnia. Bandyta przestał chodzić, przysunął zydel do okna, wspiał się na palcach i patrzył przez kratę. W milczeniu przypatrywał się Karnicki jego postaci, patrzył na kształtną głowę, na młodą, a zmęczoną twarz, jasno niebieskie oczy i muskularną zgrabną postać. Obserwując, zastanawiał się nad tem, czy przestępczość odbija się w fizycznej budowie człowieka.

— Stanowczo Cezary, Lombroso i Kraft Ebbing pomylili się — stwierdził.

Potem pytał sam siebie, o czem może myśleć ten człowiek, który jutro lub pojutrze stanie przed sądem doraźnym.

Z pewnością myśli o tem, że w ten sam szary ranek, w którym okratowany wóz policyjny zawiezie go na cytadelę, a potem prowadzić go będą po rozmokłej od deszczu i śniegu ziemi na fort św. Florjana, jego dziewczyna spać będzie twardo w pachnącym pokoju, „brzytewki“, a ze snu nie zbudzi ją głuchy trzask salwy na forcie.

Bandyta stał długo przy oknie, patrzył na podwórze więzienne, wreszcie odwrócił głowę i spytał:

— A pana za co tu przyprowadzili?

Karnicki namyślał się chwilę, potem powiedział.

— Za to samo za co i pana. I ja chciałem mojej dziewczynie dać więcej, jak mogłem...

Nagle obydwaj zamilkli; w okienku ukazała się poryta śladami ospy twarz strażnika. Dozorca wolno dobierał klucz do zamku, wreszcie uchylił ciężkie dębowe drzwi.

— Pana Karnickiego wzywają do prokuratury — zawiadomił krótko.

Karnicki wstał, podszedł do towarzysza, jakby chciał się z nim pożegnać i uścisnąć mu zdrową rękę. Bandyta stał jednak dalej na zydłu, odwrócony do okna i nie zwracał na niego najmniejszej uwagi. Karnicki wysunął się cicho z celi, wyszedł na podwórze i wsiadł do karetki więziennej.

## ROZDZIAŁ XII.

### Przesłuchanie.

Po raz pierwszy w życiu prokurator Zabielski oczekiwał z niecierpliwością i zdenerwowaniem na obwinionego. Odłożył na bok gruby plik akt jutrzejszej rozprawy i przechadzał się wzdłuż swego gabinetu. Po raz setny wmawiał w siebie, że właściwie osoba Karnickiego powinna mu być obojętna; jest on bowiem takim samym obwinionym, jak każdy inny, a głównym celem śledztwa jest wykrycie sprawy morderstwa przy ulicy Chmielnej. Może nim być Karnicki — może być kto inny, to dla prokuratora powinno być obojętne.

A jednak?

— A jednak Karnicki był mu dziwnie bliski. Tyle piękna ze swej duszy dał ten młody człowiek społeczeństwu, tyle szlachetnych tonów i dobrych intencji brzmiało w każdym jego dziele, tak potężnie po-



trafił targać nerwami ludzkiemi, gdy zwracał uwagę na rany i niedomagania społeczne, tyle nadziei, słońca wlewał w serca w chwilach dla kraju ciężkich.

Czy możliwe jest, by ten młody człowiek targnął się na życie kaleki i zagarnął jego pracę? Czy możliwe jest, aby twórca „Wiecznego znicza“ ocierał się o tak moralnie lichego człowieka, jak Gałkin?

W wyobraźni prokuratora nazwisko Karnickiego należało wyłącznie do świątyni polskiego słowa, a dalekie było od biur i korytarzy prokuratorских, od tego gmachu, gdzie mieściła się klinika ludzkiej moralności.

A jednak, nietylko pozory świadczą przeciwko Karnickiemu — istnieją poważne dowody, że tylko on mógł popełnić tę zbrodnię. Jak wytłómaczyć zeznania Tatjany Iwanowny Szulgin, którą początkowo można byłonawet uważać za kobietę umyślowo chorą, ale później, gdy podane przez nią fakta, odpowiedziały rzeczywistości, trzeba było poważnie do niej się odnosić. Jak wytłómaczyć zeznania stróża, który na kilka minut przed odkryciem morderstwa, widział Karnickiego, wybiegającego z przerażeniem z mieszkania Gałkina? Jak wreszcie odeprzeć tak druzgocący dowód, jak znalezienie w biurku rękopisu zamordowanego?

Stanowczo Karnicki musiał umaczać palce w tej sprawie.

Rozmyślenia prokuratora przerwało ostre pukanie do drzwi. Wszedł konwój policyjny, raportując dostawienie z więzienia śledczego Ludwika Karnickiego. Prokurator polecił bezzwłocznie wprowadzić oskarżonego do swego gabinetu. Karnicki wszedł chwiejnym i nieśmiałym krokiem. Nie ogolony, w wygniecionym palcie i brudnym kołnierzyku. Różnił się znacznie od tego młodego, zdolnego literata, któremu publiczność dziękowała huraganem oklasków i długim deszczem kwiatów za talent i pracę.

Prokurator patrzył w twarz młodego człowieka i szczerzy żal i współczucie malowały się w jego

oczach. Wskazał oskarżonemu krzesło tuż obok swego biurka. Karnicki zbliżył się nieśmiało i usiadł na krawędzi. Zabielski wyciągnął z regału akta, chwilę je wertował, jakby chciał pokryć zmieszanie. Wkrótce opanował się i spokojnie spytał:

— Imię i nazwisko pana?

— Ludwik Karnicki — szepnął oskarżony tak cicho, że słowa zaledwie dochodziły do uszu pytającego.

— Prokuratura oskarża pana o zbrodnię morderstwa. Popelnił ją pan dnia 10 lipca, roku zeszłego w hotelu Mincerowej, zabijając uderzeniami tępego narzędzia, możliwe młotka, poddanego rosyjskiego Pawła Michajłowicza Gałkina. Czy przyznaje się pan do zbrodni?

Karnicki patrzył w oczy prokuratora, jakby nie rozumiał słów, palcami wykonywał jakieś bezmyślne ruchy, skubał rękaw palta. Prokurator powtórzył treść oskarżenia. Twarz Karnickiego zaczęła się wolno ożywiać, wreszcie szepnął tak cicho, że znów ledwie można było go zrozumieć:

— Ja nie zamordowałem Gałkina...

— W takim razie może mi pan wytłumaczy, co pan robił w jego mieszkaniu na kilka minut przed morderstwem.

— Żadnego Gałkina nie znam, nigdy nie byłem w jego mieszkaniu.

— Panie Karnicki — upominał prokurator — jako obwinionemu o zbrodnię, wolno panu nawet kłamać, ale nie sądzę, aby takie kłamstwo wpłynęło dodatnio na przebieg śledztwa i na pańską sytuację. Jeżeli w obronie swojej musi się pan uciekać do kłamstwa, to niech pan przynajmniej nie przeczy faktom, które w każdej chwili mogą być udowodnione. A teraz powtarzam pytanie: — Czy pan był w mieszkaniu Gałkina na kilka minut przed ujawnieniem zbrodni?

— Byłem.

— Może mi pan wytłumaczyć, co pan tam robił?

— Gałkin prosił mnie poprzedniego dnia, bym go

odwiedził, był chory. Przyszedłem o oznaczonej godzinie, zdaje się o 11 przed południem i kilkakrotnie zapukałem do drzwi, gdy nikt nie odpowiedział nacisnąłem klamkę i wszedłem do pokoju. Zamartłem z przerażenia. Zobaczyłem coś, co mi zmroziło krew w żyłach. Na środku pokoju leżał potworny garbus, zlany obficie krwią. Szklannymi oczyma patrzył na mnie, od czasu do czasu przymykał i otwierał powieki, jakby nateżał wzrok, aby lepiej mi się przypatrzeć. Cofnąłem się w tył z przerażeniem, uderzyłem plecami w zamknięte drzwi. Zostałem z nim sam na sam w pokoju. Nagle garbus podwinął jedną nogę pod siebie, a potem szybko ją wyprężył i w ten sposób zbliżył się do mnie, jakby chciał mnie objąć za nogi. Chciałem krzyknąć, ale strach zapierał mi oddech, otworzyłem drzwi i wybiegłem jak oszalały na ulicę...

— Dlaczego nie uwiadomił pan policji o swoim odkryciu?

— W pierwszej chwili byłem tak przerażony, że nie bardzo zdawałem sobie sprawę z tego, co czynię, biegłem bezmyślnie wzdłuż ulic, aż ocknąłem się na Starem Mieście. Gdy wróciła mi przytomność i uświadomiłem sobie każdy szczegół strasznej sceny, doszedłem do przekonania, że w chwili, gdy przekroczyłem próg pokoju, Gałkin już nie żył, a ruch jaki wykonał był tylko skurczem pośmiertnym. Z pewnością upłynęła godzina, zanim zdołałem sobie wyrobić spokojny sąd o wypadku. Gdy wybiegłem z pokoju spostrzegłem, że do mieszkania zamordowanego zmierza jakiś robotnik, czy stróż, byłem więc przekonany, że on zobaczył już zbrodnię i uwiadomił policję. Hotel Mincerowej nie cieszył się zbyt dobrą opinją, bałem się przyznać, do swej bytności w tym lokalu, cel bowiem mego przybycia mógł być fatalnie tłómaczony. Gdybym zresztą był pierwszym, który odkrył zbrodnię, wmieszanosoby niewatpliwie moje nazwisko do sprawy, a tego obawiałem się bardzo...

— Zrozumie pan, że takie milczenie po wypadku jest poważnym argumentem oskarżenia.

Karnicki nie odpowiedział, opuścił głowę na pierś, jakby przyznawał niedorzeczność swego postępowania.

— A może zechce mi pan opowiedzieć, co łączyło pana z Gałkinem?

— Z zamordowanym łączyła mnie początkowo tylko powierzchowna znajomość. W roku 1918, gdy wracałem jako uchodźca z głębi Rosji do kraju, skradziono mi w ścisiku kolejowym dokumenty. Kontrola bolszewicka zmusiła mnie do przerwania dalszej jazdy w Orle. Bezradny udałem się do miejscowych władz bolszewickich, prosząc o pomoc. Wtedy w jednym z orłowskich komisariatów poznałem Gałkina, który zaopiekował się mną i ułatwił mi tego samego jeszcze dnia dalszą jazdę.

— W Warszawie musiał go pan jednak spotkać i kontynuować z nim znajomość, jeśli odwiedzał go pan nawet w domu?

— W Warszawie zetknąłem się z nim kilkakrotnie. Po raz pierwszy przed niespełna rokiem. Było to w południe. Pracowałem w domu, gdy służąca zawiadomiła mnie, że jakiś garbaty człowiek chce ze mną mówić. Kazałem wprowadzić go do swego gabinetu. Gdy wszedł przypomniałem sobie natychmiast niemiłą przygodę w pociągu bolszewickim. Gałkin przyniósł ze sobą gruby rękopis i powołując się na przysługę, jaką mi przed kilku laty wyświadczył, prosił, abym rękopis przeczytał i ocenił, czy ma jaką wartość literacką. Ponieważ doskonale władam językiem rosyjskim, więc obiecałem, że powieść przeczytam i ocenię. Zamordowany opowiadał mi wówczas, że rok, który spędził w urzędzie bolszewickim, wyleczył go radykalnie z mrzonek komunistycznych, a ponieważ nie taił się ze swoim rozczarowaniem przed członkami Sowietów, musiał z Orla uciekać do Moskwy, ale i tam go ścigano, jako kontrrewolucjonistę, tak, że postanowił wyjechać z Rosji do Niemiec. Za fałszywym paszportem prze-

kradł się do Berlina. Ale ponieważ nie znał języka niemieckiego i nie mógł zarobić na chleb, więc porzucił Berlin i przeniósł się do Warszawy, gdzie pracował w jakimś Komitecie pomocy dla emigrantów. Wychodząc zaklinał mnie Gałkin na wszystkie świętości, abym nikomu nie zdradził, że on jest autorem powieści. Ponieważ podejrzewałem go o grafomaństwo, prośba ta wydawała mi się nawet śmieszna — z grzeczności jednak zapewniłem go, że dochowam tajemnicy. Gałkin uspokojony wyszedł...

Karnicki przerwał dalsze zeznania, przybladł, oddychał ciężko, jak po wielkim wysiłku.

Prokurator czekał cierpliwie, aż obwiniony odpocznie, aby jednak skrócić kłopotliwe milczenie, wy dostał z kieszeni papierośnicę i zapalił papierosa. Oskarżony z chciwością wdychiwał nozdrzami dym tytoniowy. Zabielski zrozumiał, wyciągnął papierośnicę, i podał oskarżonemu papierosa.

— W więzieniu śledczym odebrano panu papierosy? — spytał.

Karnicki uśmiechnął się boleśnie.

— No, a teraz niech pan opowiada dalej.

Karnicki zaciągnął się łapczywie dymem i mówił:

— Obietnicy danej Gałkinowi dotrzymałem solennie, powieść zacząłem czytać. W miarę czytania, zmieniłem zdanie o Gałkinie, powieść miała duże walory literackie. Po tygodniu Gałkin przyszedł znów do mego mieszkania i wtedy wyraziłem mu zachwyt dla jego pracy, wytknąłem tylko kilka drobnych usterek i wad. Gałkin wziął powieść do poprawienia i poprawioną przynosił mi częściami do ponownego czytania. Za każdą bytnością powtarzał swoją prośbę, abym przed nikim nie zdradzał jego zapędów literackich. Nie mogłem połapać się, jaki jest właściwy cel tej tajemnicy. Dopiero po morderstwie gdy przeczytałem w gazetach, że Gałkin był na żołdzie bolszewickim, zrozumiałem, dlaczego tak taił się ze swoją pracą. Powieść była jedynym wielkim oskarżeniem dla komunizmu... Wizyty

Gałkina powtarzały się coraz częściej, dyskutowaliśmy o wielu sprawach, był niezwykle inteligentny, bystry i wrażliwy. Gdy chorował i nie przychodził, odczuwałem brak jego towarzystwa, aż wreszcie zacząłem go nawet odwiedzać w hoteliku Mincerowej. W przeddzień morderstwa miałem od Gałkina otrzymać ostatnią część powieści. W oznaczonym dniu jednak nie przybył. Obawiając się, że jest chory, odwiedziłem go następnego dnia i wtedy zastałem go pławiącego się we własnej krwi...

— A może mi pan teraz powie, co się stało z powieścią? — spytał prokurator.

Oskarżony błędził wzrokiem po ścianach pokoju, jakby zwlekał z odpowiedzią. Prokurator ponowił pytanie.

— Powieść była w moim biurku — wymijająco mówił Karnicki — i odebrano mi ją w czasie rewizji. Ostatnią zaś część pokazał mi komisarz Borewicz, była silnie splamiona krwią...

— Pan mnie widocznie nie rozumie — przerwał szorstko prokurator. — Nie pytam się o rękopis, tylko o powieść...

Karnicki milczał. Nie mógł się połapać do czego prokurator zmierza. Zabielski wyręczył go w odpowiedzi.

— Jeśli pan, nie chce mówić o losach powieści zamordowanego, to ja mogę wyręczyć pana w odpowiedzi. Powieść Gałkina zużytkował pan do swego dramatu pt. „Sąd nad Antychrystem“...

Słowa prokuratora podziały piorunująco na oskarżonego. Karnicki zerwał się gwałtownie z krzesła, a z pobielających jego ust wydobyło się przeczenie:

— Nie, nie, to nieprawda, pan prokurator się myli.

— Możliwe, że się mylę — spokojnie odpowiedział Zabielski i dlatego powieść Gałkina dam tłumaczom sądowym dla przetłumaczenia i porównania obydwu treści, ale wtedy sprawa może stać się gło-

śną... Jeśli zaś rzeczywiście się pomyliłem, to nie rozumiem pańskiego przerażenia...

Karnicki padł bezwładny na krzesło, zakrył twarz rękami, a z krtani wydobywał mu się spazmatyczny szloch i wstrząsał nim długo. Zabielski patrzył na oskarżonego, czekał cierpliwie aż się uspokoi i powtórzył swoją propozycję:

— Więc zgadza się pan na oddanie powieści tłómaczowi sądowemu?

Oskarżony zaprzeczył ruchem głowy. Widać było, że sam ze sobą się zмага. Po chwili powiedział z rezygnacją:

— Ja już wszystko powiem...

— Czekam cierpliwie.

— A więc przyznaję — mówił słabym głosem oskarżony — że powieść Galkina posłużyła mi do napisania „Sądu nad Antychrystem“. Możliwe, że większa część fabuły jego powieści jest w moim dramacie, ale niemniej w „Sądzie nad Antychrystem“ jest bardzo dużo mojej własnej pracy i moich własnych nerwów. Dziwi zapewne pana prokuratora, dlaczego ja, człowiek o wyrobionej pozycji w literaturze, posłużyłem się obcym tematem, popełniając w ten sposób, — pańskiem zdaniem, — kradzież. Zaraz panu wszystko wytłómaczę. Powieść Galkina, jak już powiedziałem, podobała mi się bardzo, więcej nawet, wywarła na mnie głębokie wrażenie. Był w niej ból i tęsknota, tak przeżyta i tak straszna, jakby przeżerała mózg i serce. Po przeczytaniu tej powieści myślałem o niej wiele. Zdawało mi się, że jakiś dziwny lekarz dokonywał długiej operacji na organizmie własnego narodu. Operacja trwała zbyt długo. Krwawy operator zdawał się być sadystą, z takim zamiłowaniem grzebał w krwawej ranie i w ciepłych wnętrznościach, naciskał każdy obolały mięsień, każdy nerw. A potem, gdy ta straszna operacja udała się, gdy pacjent przetrzymał piekielne męki i wracał do zdrowia, wtedy ten sam lekarz-operator pokochał pacjenta duszą i sercem. Za męki, za ból, chciał mu przypiąć skrzydła anielskie,

chciał, by aureola męczeństwa zajaśniała nad głową chorego, i tak jak przed tem, wżerał się w najboleśniejse miejsca, tak potem z czcią całował zabliznioną ranę. Takie wrażenie uczyniła na mnie powieść Gałkina...

„Obrazy malowane brutalnie w tej powieści utrwały się coraz silniej w moim mózgu. Przejąłem się nimi do tego stopnia, że widziałem własnymi oczyma miliony wychudłych twarzy, obłądnych oczu, miliony opuchłych rąk i nóg, które roztrącały zgliszcza, szukając żywności i prawdy...

„Gdy Gałkin żył, starałem się za wszelką cenę namówić go, by powieść wydał. Nie zgodził się, twierdził, że na razie musi się z nią ukrywać i mnie jednemu zwierzył się z jej napisaniem. Najlepszym dowodem, że nie chciałem powieści przywłaszczyć sobie, było, iż poprawiałem każdy błąd, każdą szczelinę logiczną, chciałem, by stała się arcydziełem. Wiedziałem, że może odegrać poważną rolę, jako broń przeciw dżumie bolszewickiej. Tak było do dnia morderstwa.

„Gdy zobaczyłem w hoteliku Mincerowej trupa Gałkina, długo biedziłem się nad rozwiązaniem zagadki, kto mógł mieć cel w odebraniu życia kalece i nędzarzowi. Tego samego dnia byłem niezwykle zdenerwowany i żadnych planów nie byłbym w stanie podjąć. Następnego zaś dnia, gdy przeczytałem w „Kurjerze“, że w mieszkaniu zamordowanego znaleziono obfity materiał prowokatorski, utwierdziłem się w przekonaniu, że podkładem morderstwa był jakiś wyrok partyjny. Potem oddałem się ciężkim troskom domowym, a jakiego one były rodzaju zaraz wytlómaczę. Kilka lat temu, gdy byłem początkującym jeszcze literatem i redakcje pism z łaski przyjmowały moje nowele, a dyrektor jednego z teatrów, powodowany jakąś dziwną zyczliwością, wystawił moją sztukę, wtedy poznałem aktorkę, kobietę dobrą, piękną, niesłychanie ambitną. Przywiązałem się do niej bardzo. Po kilku miesiącach znajomości obdarzała mnie sympatją. Stara-



łem się za wszelką cenę ją zdobyć. Nie mogłem wtedy imponować jej ani pieniędzmi, ani urodą, postanowiłem zyskać jej miłość talentem. Czas, gdy kochałem, należał do okresu największego nasilenia mojej twórczości. wreszcie została moja przyjaciółką. Kilka lat spędzonych pod wspólnym dachem przeleciało jak mgnienie oka. Kochałem ją do szaleństwa, upijałem się jej oddechem. Moja namiętność potęgowała się z dnia na dzień. Gdy wszedłem w próg mego mieszkania, nerwami odgadywałem, czy ona jest w domu. Potrafiła podniecać moją miłość, każdego dnia była dla mnie inną. Gdy przekonany byłem, że przenikam najskrytsze tajniki jej duszy, wtedy uczyniła coś, co dowodziło, że jej nie znam zupełnie. W miarę jednak wspólnego pożycia, milkłem. Pochłaniała mnie tak całkowicie, że nie czułem potrzeby tworzenia. Była — jak już powiedziałem — niezwykle ambitna. Idąc ze mną w życie, spodziewała się, że przy niej mój talent rozwinie się jeszcze więcej, że stanę się świetlanym filarem w literaturze. Niestety, omyliła się — to ją bolało. Każda nowa książka, która ukazała się na półkach księgarskich, każda nowa sztuka, napisana przez polskiego autora, była tłem do ostrej między nami scysji. W ostatnich czasach niemal codziennie czyniła mi ostre wyrzuty, że przestałem pisać, że zawiodłem jej nadzieje. Groziła mi stanowczo, że odejdzie. Była to groźba, przed którą drżałem, a niestety wiedziałem, że obietnicy dotrzyma. W dniu morderstwa byłem wieczorem ze swoją przyjaciółką na premierze sztuki Saji. Gdy późną nocą wróciliśmy do domu, powstała znów między nami scysja i wtedy zagroziła mi stanowczo, że odejdzie. Całowałem jej nogi, błagałem, by została. Przysiągłem, że mam temat i zabiorę się do pracy. Wyzaczyła mi krótki termin, do którego zobowiązała się pozostać. Tę noc spędziłem bezsennie. Rano dowiedziałem się z pisma o szczegółach zamordowania Gałki. Wtedy strzeliła mi do głowy myśl, którą uważałem za ostatnią deskę ratunku dla siebie: — Powieść

Gałkina przerobię na dramat, bo nikt jej treści nie zna prócz mnie...

„Po kilku już dniach siedziałem pograżony w pracy.

Oskarżony umilkł. Jego bladą twarz poruszały nerwowe drgawki, był wyczerpany. Zabielski podał mu znowu papierosa i proponował by odpoczął. Kar-nicki skwapliwie przyjął papierosa, ale ruchem głowy sprzeciwił się przerwie w zeznaniach.

— Nie, powiem już jednym tchem wszystko. „Sąd nad Antychrystem“ przywrócił mi miłość kobiety, wyratował mnie z kłopotów pieniężnych, ale zburzył mój spokój, zniszczył mi nerwy, odebrał mi sen. Po napisaniu tej sztuki i przyjęciu jej przez dyrekcję teatru, rozpoczęły się dla mnie chwile strasznej udręki. Każdej nocy przychodził garbus do mnie, milcząco siadał na krawędzi łóżka i patrzył mi długo w oczy. Gdy zamykałem powieki, wtedy zimną ręką dotykał mnie i zmuszał, bym dalej patrzył mu prosto w oczy. Postanowiłem go jednak zwyciężyć, zdawało mi się, że jeśli przetrzymam go wzrokiem, wtedy raz na zawsze zniknie. Jednej nocy stoczyliśmy walkę. Oparłem się na rękach, patrzyłem mu prosto w źrenice. Przez długą godzinę wytrzymywałem jego wzrok, choć nachylał twarz, a biła od niego woń zgnilizny i wilgoci. Aż garbus opuścił oczy, ale nie przymknął powiek, tylko obrócił gałki oczne i patrzył na mnie zielonemi białkami. Padłem wtedy zemdlony na poduszkę. Od tej chwili nietylko nie znikł, ale prześladował mnie już we dnie i w nocy. Gdy zapadł zmrok garbus zaraz sadował się w najciemniejszym kącie obok łóżka i milcząco, natarczywie mnie obserwował. Wiedziałem, że skończę na obłęd. Bałem się tylko jednego: aby w przystępie szału nie zdradzić się i nie powiedzieć całej prawdy. Po moim ataku na próbie i na premierze, długi czas nie wiedziałem, czy nie zdradziłem tajemnicy. Drżałem na myśl, że mogę się zdradzić, choćby jednym słowem. W takim nastroju żyłem aż do chwili aresztowania...

„W czasie przesłuchania na policji, uczyniono ze mną eksperyment, który omal za jednym zamachem nie uleczył mnie ze strasznych cierpień i nie pozbawił zmysłów.

Była późna noc. Po aresztowaniu wprowadzono mnie do dużego pokoju, w którym paliła się słaba żarówka i cały pokój tonął w półmroku. Za chwilę miał przyjść komisarz policji i zacząć przesłuchanie. Długo nikt nie wchodził i w tym olbrzymim mrocznym pokoju byłem sam. Na dużym stole leżał plik papierów i jakiś nieokreślony przedmiot, nakryty grubym czarnym sukniem. To sukno fascynowało mnie straszliwie. Nie mogłem się uspokoić, coś mnie ciągnęło, aby pod nie zajrzeć. Początkowo nie śmiałem tego uczynić, starałem się jedynie po fałdach sukna poznać, co pod niem się ukrywa. Po długiej jednak chwili, nie mogłem już oprzeć się pokusie, zbliżyłem się do stołu, uchyliłem rąbek czarnej materji i wydałem nieludzki okrzyk przerażenia... pamiętam, że przewróciłem krzesło, a potem prawie bez zmysłów padłem na ziemię... Z pod czarnego sukna patrzyła na mnie potworna głowa garbusa, ze zmiażdżonym tyłem czaszki i wyszczerzonymi groźnie zębami. Wyglądał tak, jak widziałem go wtedy, gdy zakrwawiony starał się zbliżyć do mnie. Zamierałem ze strachu, bo miałem wrażenie, że ta krwawa głowa lada chwila potoczy się pod moje nogi. Na mój krzyk przerażenia długo nikt nie wchodził, byłem w pokoju sam na sam z tą potworną głową. W przystępie szalonego strachu skończyłem ku drzwiom i starałem się je wyważyć. Były dębowe, mocno okute i ani nie drgnęły pod naporem mojego ciała. Chciałem wyskoczyć oknem, było jednak zakratowane.

„Po długiej dopiero chwiali wszedł komisarz policji i w nieludzki sposób kpił ze mnie, że przeraziłem się woskowej maski pośmiertnej, którą skopjowano z głowy zamordowanego.

„To był za silny eksperyment na moje chore nerwy... Natychmiast przystąpiono do przesłuchania.

Oczywiście, że nie pamiętam co mówiłem, czy wogóle odpowiadałem na jakieś pytania. Teraz mój rozstrój nerwowy będzie niewątpliwie wyzyskany jako dowód, że ja popełniłem morderstwo...

Karnicki umilkł. Zeznania musiały go bardzo wyczerpać, bo twarz nabrała jakiegoś popielatego odcienia, a oczy jakby zapadły w głąb czaszki. Podparł ręką głowę i z wyrazem śmiertelnego zmęczenia patrzył w oczy prokuratorowi.

— Czy chce pan dalej zeznawać? — spytał Zabielski.

Oskarżony skinął głową twierdząco.

— Tak, chcę dziś zrzucić z siebie cały ciężar badań. Jutro już bym ich może nie przetrzymał. — odpowiedział eichym głosem.

— W takim razie może mi pan wytłómaczy, dlaczego rękopis Gałkina, znaleziony w pańskim biurku, jest tak pognieciony i zmięty, jakby był przedmiotem, o który toczyła się walka dwóch ludzi?

— Bardzo proste. Dla napisania „Sądu nad Antychrystem“ wybrałem się w Tatry, gdzie zamieszkałem u znajomego bacy przy Pięciu Stawach. Rękopis miałem w plecaku, który służył mi niejednokrotnie za poduszkę. Nie mógł więc inaczej wyglądać...

— Rozumiem.

— Panie prokuratorze — wybuchnął niespodzianie Karnicki — uważam pana za człowieka z honorem i sumieniem, niech mi pan powie, czy podejrzenia przeciw mnie o zamordowanie Gałkina są poważne?

— Niestety tak. — potwierdził Zabielski.

Karnicki ukrył twarz w dłoniach, po chwili spazmatyczny płacz wydobył się z jego piersi, przez zaciśnięte palce przeciekały obfite łzy.

Zabielski westchnął, żal mu było młodego człowieka, którego okoliczności wplątały w tak niebezpieczną matnię.

— Panie Karnicki — przemówił wreszcie prokurator. — Na rozpacz jest zawsze czas. Teraz powi-

nien się pan uzbroić w cierpliwość i spokój, będzie panu to bardzo potrzebne w śledztwie. Niech pan będzie przekonany, że nikt pana nie będzie sądził bez dokładnego zbadania każdego szczegółu sprawy.

Gdy oskarżony uspokoił się nieco, prokurator nacisnął dzwonek. Wszedł konwój policyjny. Prokurator kazał odprowadzić oskarżonego z powrotem do więzienia, na pocieszenie jednak powiedział:

— Dziś jeszcze wydam zarządowi więzienia polecenie, aby pozwolono panu palić i korzystać z prywatnych obiadów.

Oskarżony dziękował oczyma i chwiejnym krokiem wyszedł z gabinetu prokuratora, zgarbiony jak starzec.

Zaledwie konwój zamknął drzwi za aresztantem, gdy do kancelarji prokuratora wpadł bez zameldowania inspektor Sandberg. Twarz inspektora wyrażała niesłychane wzburzenie.

— Cóż to prokurator przygwoździł Karnickiego? — spytał zanim zdołał się jeszcze przywitać.

— Ano tak — odpowiedział spokojnie prokurator — podejrzany jest o zamordowanie Gałkina...

— Kogo?? — zapytał Sandberg i aż rozłożył ze zdziwienia ręce, przypominające mocne, sękaty konary grabiny.

— Gałkina.

— Chyba prokurator żartuje. — odpowiedział poważnie, zaniepokojony Sandberg.

— Nie żartuję, są bardzo silne poszlaki przeciw niemu. Ale dlaczego się pan tak dziwi?...

— Nietylko dziwię się, ale jestem bardzo zaniepokojony. Aresztowanie w takiej sprawie Karnickiego może nas strasznie zdyskredytować. Lubi go cała Warszawa. Szczęście, że prasa jeszcze o tem nie wie, bo ani święconą wodą nie obmylibyśmy się z tego skandalu. A to ładna historia...

Twarz Sandberga wyrażała tak wielki niepokój, że zbiła prokuratora zupełnie z tonu.

— Ależ inspektorze! Nie wie pan chyba nic o powieści Gałkina — a wreszcie, jakie ma pan dane, że to nie on popełnił morderstwo?

— Pewnie, że o żadnej powieści nic nie wiem, bo nie zajmuję się literaturą. Tak samo nie mam pewnych dowodów, że to nie on popełnił zbrodnię. Ale mam dane, że zbrodnię popełnił ktoś inny. Chciałem zebrać jeszcze kilka drobnych szczegółów i w ciągu kilku dni miałibyśmy już w rękach sprawcę...

— Więc pan inspektor zna mordercę?

— Znam go doskonale, codziennie z nim rozmawiam.

— Pan chyba kpi...

— Ależ daję słowo honoru, że mówię prawdę.

— W takim razie niech pan powie, kim jest morderca?

— Bardzo miły człowiek — jutro go pan prokurator zobaczy.

W tej sprawie nie chciał Sandberg już żadnych informacji udzielić prokuratorowi i przystąpił do sprawy sądu doraźnego nad szajką, która dokonała napadu na kantor wymiany Rebszejda.

## ROZDZIAŁ XIII.

### Tajemnicza para.

Był bliski świt, gdy z jasno oświetlonego wnętrza „Białego Pawia“ wyszła na ulicę jakaś silnie podniecona alkoholem para. Młoda kobieta w nurkowym futrze i niski barczysty mężczyzna w palcie z karakułowym kołnierzem. Początkowo starali się iść pieszo, zataczali jednak nieregularne łuki, każdy w inną stronę. Gdy nogi mężczyzny ciągnęły na środek jezdni, to ona z uporem napierała na żaluzje sklepowe, wybuchając co chwila beztroskliwym śmiechem. Szoferzy i dorożkarze patrzyli z zacie-

kawieniem na pieszą wędrowkę obojga i czekali niecierpliwie na chwilę, kiedy usiądą na trotuarze.

— Ale są „pod gazem“ — zauważył jeden z szoferów, wywołując głośny śmiech towarzyszy.

Mężczyzna, bardziej przytomny od swej towarzyski, obejrzał się i spostrzegł, że stał się przedmiotem wesołego widowiska, postanowił więc zaniechać dalszych prób spaceru i tłumiac atak czkawki, krzyknął:

— Dorożka!!

Pięciu dorożkarzy podcięło konie, starając się prześcignąć jeden drugiego. Wybór dorożki stanowił niemały kłopot dla wesołej pary, bo gdy on decydował się już wsiąść w jedną, to ona z uporem ciągnęła do drugiej. Wreszcie decyzja zapadła i oboje usiadli na poduszki wehikułu. Pan w karkulowym kołnierzu podał adres jakiegoś hotelu, na który znów jego towarzyszka nie chciała się zgodzić.

— Do mnie nie możesz jechać — upierała się, belkocząc monotonna.

— Ależ przyrzekłaś mi... — perswadował nieznajomy.

— No dobrze, ale tu w tej dorożce musisz mi przysiąc, że będziesz się zachowywał cicho jak kot...

— Przysięgam.

Wreszcie ustalono adres. Woźnica zaciął konia i dorożka potoczyła się wolno po nierównym bruku ulicy Senatorskiej.

*My katalisia po łodkie  
Alosza, Wania, ja w sierodkie..“*

Doszła do uszu szoferów rosyjska piosenka uliczna, którą wyciągał sopran w dorożce. Dorożka skręciła w Wierzbową, wreszcie zatrzymała się przed jednym z podrzędnych hoteli na Trębackiej. Woźnica zeskoczył z kozła, pomógł swoim pasażerom wyładować się na trotuar. Gdy mężczyzna z trudnością rozliczał się z dorożkarzem, jego towa-

rzyszka nacisnęła guzik dzwonka w bramie. Zaspary szwajcar otworzył szklane drzwi i oboje wstąpili na schody, kurczowo trzymając się poręczy. Odkręcenie kluczem drzwi pokoju musiało przedstawiać nielada trudność, bo długo oboje wysilali się naprzemian nad tą czynnością. Wreszcie zamek ustąpił i weszli do dużego pokoju, w którym raziły szablonowe meble hotelowe.

Widok własnego pokoju podziałał widocznie rozweselająco na młodą kobietę, bo usiadła zaraz w fotelu i co chwila wybuchała głośnym śmiechem. Nieznajomy stał nad nią, utrzymując na krótkich, a mocnych jak pnie nogach, z trudnością równowagę i gestem ręki prosił, by się uciszyła. Gest ten ją jeszcze bardziej rozweselił.

— Wiera, co robisz? Pobudzimy wszystkich lokatorów — upominał mężczyzna.

— Co mi tam lokatorowie — bełkotała — rachunek hotelowy płacę dolarami, więc nie mają prawa robić mi żadnych wymówek...

— Ależ mówiłaś w dorożce, że trzeba się bardzo cicho zachowywać...

— W jakiej dorożce? — pytała z wielkim zdziwieniem — nigdy żadną dorożką nie jechałam...

Mężczyzna zmarszczył czoło i poważnie zastanawiał się nad tem, czy rzeczywiście jest tak pijany, że zdawało mu się, iż niedawno siedział w dorożce.

Młoda kobieta wstała z trudem z fotelu, zdjęła futro, które opuściła na ziemię. On podniósł je, ale równocześnie zatoczył nogami olbrzymi łuk i wpadł na szafę.

— Ty jesteś pijany, uważaj, nie rób hałasu — upominała go towarzyszka.

Wreszcie płaszcz bez poważniejszej szkody znalazł się na wieszaku.

Młoda kobieta zapaliła żarówkę nad lustrzaną konsolą, i zaczęła się rozbierać. Za chwilę stanęła przed swoim towarzyszem w bieliźnie. Nieznajomy



patrzył na jej nagie, lekko opadające ramiona, na długie, szczupłe ręce, na biały, kształtny biust, przysłonięty w połowie różową crepe de chine, na rasowe nogi, obciągnięte jedwabną pończochą.

— Piękna jesteś Wiero — szepnął cicho i chciał ją objąć ramieniem.

Trąciła go tak silnie, że padł w głęboki fotel, chwiejnym krokiem podeszła do wielkiego kufra i długo coś w nim szukała. Za chwilę silny zapach eteru wypełnił pokój.

— Pijesz eter? — spytał ją pijanym, nosowym głosem.

Odwróciła się szybko — zobaczył, że w ręce trzymała kilka fjolek i małe błyszczące pudełko.

— Chcesz? — spytała.

— Co takiego?

— No, morfinę...

— Nie, dziękuję, morfina szkodzi mi, wołę kokainę...

— Kiedy nie mam ani pół grama — odpowiedziała zmartwiona.

Następnie pilnikiem spiłowała szyjkę szklanej fjolki, wciągnęła jej zawartość w błyszczącą strzykawkę, uchyliła rąbek pończochy i pewnym uderzeniem wbiła cienką igłę w nagie udo. Towarzysz chwycił ze stolika kłębek waty, przytknął go do małej ranki.

Schowała z powrotem strzykawkę i fjolki do olbrzymiego kufra, potem usiadła na otomanie. On zbliżył się do niej, usiadł na dywanie i patrzył jej prosto w oczy.

— Dawno już używasz morfiny? — spytał, opanowując nowy atak czkawki.

— Dawno, a zresztą co ciębie to obchodzi...

— Obchodzi mnie, bo cię kocham i objął ramionami jej nogi.

— Ty kochasz? — zaśmiała się głośno. Siadał tu obok mnie — rozkazała nienaturalnym głosem i przymknęła powieki. Usiadł posłusznie a ona

objęła go za szyję przycisnęła usta do jego ust, potem mówiła sennym głosem:

— Ty mnie kochasz? Tak, czasem zdaje mi się, że rzeczywiście przywiązałeś się do mnie, a czasem masz jakieś takie chłodne, niemiłe błyski w oczach, jakbyś mnie odpychał. Wtedy chowam się zaraz, jak ślimak w swoją skorupę, a chciałabym ci czasem opowiedzieć tyle rzeczy o sobie...

— Mów, chętnie będę słuchał...

Ale ona nie odpowiedziała. Coraz wolniej gładka ręką jego włosy, potem bezwładnie padła na otomanę. Morfina zaczynała działać, rozprężyła jej mięśnie, oczy zachodziły mgłą nieprzytomności.

Mężczyzna siedział jeszcze chwilę, rękę położył na jej czarnych włosach i wsłuchiwał się w jej oddech. Po bezsennej nocy i silnej dawce morfiny, zasnęła głęboko. Wtedy wstał, chwycił ją w swoje silne ramiona i sprężystym krokiem zaniósł na łóżko. Delikatnie zdjął z jej nóg lakierowane pantofelki i strannie przykrył kołdrą. Potem wyprostował się i bacznie rozejrzał po pokoju. Cichym krokiem podszedł do olbrzymiego kufra, odchylił wieko i długo w nim szukał czegoś. Wyjął wreszcie jakieś przedmioty i ukrył je w obszernych kieszeniach ubrania. Następnie uchylił drzwi szafy, wyjął biały płaszcz, obramowany puszystym lisem. Wkońcu podszedł do łóżka, a gdy przekonał się, że ona zapada w coraz głębszy sen, zgasił światło i cicho wysnął się na korytarz.

Szybko zbiegł teraz ze schodów, wszedł do portjerni i długo trącał zaspanego szwajcara, z nim zdołał go obudzić. Kazał zaprowadzić się do budki telefonicznej. Połączył się z ekspozyturą śledczą i wezwał do hotelu komisarza dyżurnego i dwóch wywiadowców; potem spokojnie usiadł w trzcinowym fotelu i zapalił papierosa.

W niespełna pięć minut komisarz policji zadzwonił do bramy hotelu. Nieznajomy wstał, oddał

jednemu z wywiadowców biały płaszcz i nachylając się do ucha komisarza policji, wydał krótki rozkaz:

Pod numerem 27-ym na pierwszym piętrze śpi młoda kobieta. Będzie pan nad nią czuwał, ażeby nie wyszła na ulicę. Oczywiście, że można kolejno ją inwigilować. Gdy zbudzi się i wyjdzie z pokoju, wtedy zaaresztuje ją pan i przewiezie na Daniłowiczowską. Proszę moje polecenie wykonać spokojnie i z wielkim taktem. Pragnę, aby pan uniknął wszelkiej brutalności...

Komisarz policji zasalutował służbowo.

Nieznajomy czekał, aż policja wejdzie na pierwsze piętro, potem szybko wybiegł na ulicę. Stał chwilę pod latarnią, zamyślił się nad czemś głęboko, wreszcie szepnął do siebie:

— Szkoda kobiety... Co robić, kiedy już taka psia służba. Zresztą dałem słowo honoru, że jutro ją dostawię...

Z pasją rzucił niedopalonego papierosa na chodnik, aż skry rozsypały się dookoła. Szybkim krokiem skierował się na Wierzbową, gdzie wsiadł w dorożkę.

## ROZDZIAŁ XIV.

### Pani w białym płaszczu.

Zapalono latarnie uliczne, gdy inspektor Sandberg wyszedł ze swego mieszkania na ulicę i włókł się ociężale przez Krakowskie Przedmieście. Co chwila przystawał przed inną szybą wystawową, jakby chciał zabić kilka godzin niepotrzebnego czasu. Doszedł wreszcie do rogu Trębackiej i stanął chwilę, patrząc w głąb tej ulicy. Potem zawrócił z powrotem na Krakowskie. Wolnym krokiem doszedł do rogu Królewskiej i z zajęciem obserwował silny ruch uliczny.

— Zaczynamy być prawdziwą stolicą, — szepnął do siebie, patrząc na morze głów ludzkich posuwające się w rozmaitych kierunkach, na szereg wymijających się automobili, omnibusów, tramwajów i pojazdów. Z zadowoleniem obserwował Sandberg policjanta w błyszczącym hełmie, który spokojnym ruchem ręki regulował gorączkowy ruch uliczny, na tej najbardziej ożywionej arterji Warszawy. Widok pędzącej masy ludzkiej zmęczył po chwili jego oczy i postanowił wycofać się w zacieszniejszą ulicę. Wszedł właśnie w Królewską, gdy zagrodziło mu drogę dwóch młodych ludzi: adwokat Kiński i sędzia Lampert.

— A inspektor dokąd? — spytali, kłaniając się uprzejmie.

Sandberg przywitał się z nimi serdecznie.

— Ot posuwam się bezmyślnie razem z masą ludzką...

— Ale nieszczególnie inspektor wygląda — zauważył mecenas Kiński — coś pan przybladł i jakby trochę postarzał się...

— Pracowałem dużo ostatnimi czasy — odpowiedział wymijająco inspektor policji.

— No, ale też praca daje panu duży rozgłos. Dziś rano wydały pisma nadzwyczajne dodatki o wykryciu mordercy garbatego Gałkina. Podobno jakaś bardzo ładna i pikantna kokota z „Białego Pawia“.

Sandberg skurczył się, jakby go ktoś dotknął w świeżą i bardzo bolesną ranę.

— Czy kokota, nie wiem, w każdym razie jakaś śpiewaczka, — mruknął niechętnie.

Przechodzili koło hotelu Europejskiego, gdy adwokat Kiński zaproponował:

— Poszedłbym chętnie na kieliszek wódki. Zimno i psia pogoda. Wprawdzie wybieraliśmy się z Lampertem do kina, ale wolę pogadać z inspektorem. Zresztą i jutro mogę być w kinie, a inspektora codziennie się nie spotyka...

— Chodźmy do „Lija“ — poparł propozycję Lampert.

Sandberg dał się namówić. Widoczne było, że obojętne mu, w jaki sposób zabije czas.

Weszli do restauracji, usiedli przy zacisznym stole obok wodotrysku. Kelner przyniósł flaszkę wiski i smaczne zakąski.

— Teraz niech pan inspektor przy wódce opowie o tej tajemniczej damie w białym płaszczu. Bądź co bądź, dokazał pan cudu, podobno w ciągu kilku godzin obalił pan cały materiał śledczy, jaki gromadzono od pół roku...

— Przedewszystkiem muszę zauważyć — powiedział Sandberg — że reklama, jaką zrobiła mi prasa, jest zupełnie niezasłużona. Sprawę morderstwa przy ulicy Chmielnej zajmowałem się tylko pośrednio, a do wykrycia zbrodni dopomógł mi przypadek...

— Bardzo skromnie pan zaczyna — wtrącił Kierski.

— Nie lubię się chwalić, a już bardzo nie lubię odgrywać roli Conan Doylowskiego bohatera. Jeśli w ostatnich czasach udało mi się rozwikłać kilka zawiłanych wypadków kryminalnych, to głównie dopomógł mi do tego przypadek, a potem dopiero zasada, że sprawcy zbrodni należy szukać wszędzie, a nie tylko w jednym podwórku. Jeśli detektywy chce pracować skutecznie, nie powinien ubierać okularów jak koń dorożkarski i iść wpatrzony tylko w obraz, który ma przed sobą, pomijając rzeczy, które powinien widzieć z boku. Borewicz zabija jednokierunkowość śledztwa. Gdy zacznie się posuwać w jednym kierunku, to za żadną cenę od niego już nie odstąpi, choćby stale uderzał w próżnię...

— To prawda. Tak było i w sprawie głośnej afery bei Skorskich — dorzucił sędzia Lampert.

— Tak, to było ze sprawą Skarskiego i to samo ze sprawą morderstwa przy ulicy Chmielnej, czyli ze sprawą „pani w białym płaszczu“, jak to dziś nazywa Warszawa. W pół godziny po wykryciu morderstwa przy ulicy Chmielnej, a więc jeszcze w lipcu roku zeszłego, byłem razem z Borewiczem na miejscu

przestępstwa. Obejrzałem dokładnie zwłoki, wszystkie sprzęty, wreszcie olbrzymi stos papierów w mieszkaniu zamordowanego. Uwagę Borewicza pochłonęły zupełnie papiery, a szczególnie szyfrowane raporty. Grzebał w nich ze specjalnem zamiłowaniem, odszyfrowywał każdy strzęp, aż wreszcie tak się zgubił z tem wszystkim, że stracił poczucie kierunku: — czy ma szukać mordercy, czy też wykryć, jak daleko sięgały wpływy szpiegowskie Galkina. Po tem wmówił w siebie, że tłem zbrodni mogły być tylko porachunki polityczne. Ponieważ miał jeszcze jeden haczyk do zaczepienia śledztwa, a to stróża domu, który widział jakiegoś uciekającego mężczyznę po schodach, więc Borewicz oparł się całkowicie na tych dwóch danych, pomijając wszystkie inne. Niewątpliwie, że i mnie papiery Galkina dezorientowały i ja w nich szperałem, ale nie przesłoniły mi one całkowicie wzroku.

Kierski nalał nowe kieliszki wiśniaku, wypili je jednym haustem. Po krótkiej pauzie Sandberg mówił dalej:

— Otóż przeprowadzając na miejscu badania, zauważyłem bardzo ciekawą rzecz. Na oparciu starego wygniecionego fotelu, który stał w pokoju zamordowanego, zauważyłem dość gęste białe włosy, jakby wylenione z lisa czy królika. Kilka takich włosów zebrałem i przechowałem starannie. Badając dalej fotel, zauważyłem na jego nogach ślady białego proszku. Przypatrując się im, doszedłem do przekonania, że muszą one pochodzić z białego obuwia, czyszczonego tym proszkiem. Białe włoski i białą proszek zaczęły mnie naprowadzać na to, że w fotelu tym siedziała kobieta. Dwie szklanki z herbatą na stole wskazywały również na to, że Galkin przed śmiercią kogoś gościł. Chodziło teraz o to, jak ta kobieta mogła wyglądać. Gdy zmierzyłem odległość w fotelu między sierścią na oparciu, a białym proszkiem, którego ślad znaczył się po wewnętrznej stronie nóg, doszedłem do przekonania, że kobieta ta musiała być dość wysoka, jeśli potrafiła zapleść

stopy za nogi fotelu. Lekkie ślady sierści zobaczyłem i na rękawie zamordowanego. Niestety zaraz po odwróceniu zwłok znikły, gdy rękawem otarło o podłogę. Moje przekonanie, że zamordowany gościł kobietę, nie dawało mi oczywiście żadnej pewności, że właśnie ona zbrodnię musiała popełnić.

Po wyjściu z hotelu Mincerowej, udałem się niezwłocznie do kuśnierza i od niego dowiedziałem się, że włoski te pochodzą z pradziwego białego lisa, ale zleżalego. Na tem przerwałem badania, zajęty innymi sprawami. Tylko od czasu do czasu zasięgałem informacji, w jakim stadjum znajduje się sprawa.

A teraz w grę wchodzi przypadek:

W sierpniu, a więc w miesiąc po wykryciu morderstwa, gdy wychodziłem z pałacu Paca, z biura prokuratora Zabielskiego i kierowałem się na Daniłowiczowską, nagle spostrzegłem naprzeciw gmachu Ministerstwa Rolnictwa przystojną i wysoką kobietę w białym płaszczu, przybranym wspaniałym puszystym lisem. Dogoniłem ją na rogu Krakowskiej Przedmieścia i Trębackiej. Jej wzrost odpowiadał doskonale pomiarom, jakie zdjąłem z fotelu. Nieznajoma weszła do drugorzędnego hotelu przy ulicy Trębackiej. Od portjera dowiedziałem się, że nazywa się Wiera Aleksandrówna Kalinowa, jest Rosjanką, przybyła z Berlina i występuje jako śpiewaczka w „Białym Pawiu“. Tego samego jeszcze dnia wysłałem do hotelu wywiadowcę z poleceniem, aby bardzo dyskretnie i oględnie skontrolował paszporty wszystkich emigrantów rosyjskich, zamieszkałych w tym hotelu, a specjalnie Kalinowej. Wywiadowca spisał się bardzo dobrze, przyniósł dokładne wyciągi jej paszportu. Z tego paszportu dowiedziałem się, że mieszkała w Orle, badając zaś papiery, znalezione u zamordowanego, odkryłem z niemałym zdziwieniem, że on w tych samych latach był w Orle, z tą tylko różnicą, że ona wyjechała z tego miasta o dwa dni później od niego. Ten fakt poważnie mnie zastanowił.

Wieczorem byłem w „Białym Pawiu“, aby bliżej przypatrzeć się pięknej emigrantce. Poznanie nie było trudne. Do obowiązków pani Kalinowej należało odśpiewanie kilku piosenek, a potem zabawianie przygodnych gości. Mimo, iż była przystojna i zgrabna, nie miała powodzenia. Głos miała słaby, tańczyła źle, nie umiała pić, nie była wesoła, a w dodatku źle mówiła po polsku. Mężczyźni woleli brzydsze, a bardziej wesołe. Przedstawiłem się jej jakimś fantastycznym nazwiskiem i dodałem, że jestem obywatelem ziemskim z pod Warszawy. Uwierzyła mi. Nie trudno to było, mam bary i twarz chłopską. Do jednego przyznać się muszę: Wieczór spędzony w jej towarzystwie był bardzo miły. Była późna noc, gdy odwoziłem ją do hoteliku przy ulicy Trębackiej. Potem spotykaliśmy się coraz częściej. Poza lokalem „Białego Pawia“ czuła się swobodniejsza i mniej przygnębiona. Niejednokrotnie skierowywałem rozmowę na jej przeżycia w Rosji sowieckiej, wtedy milkła i na długie godziny traciła ochotę do rozmowy. Znajomość nasza trwała już kilka tygodni, a okoliczności tak dziwnie się składały, że nie mogłem się posunąć ani krok naprzód w zbadaniu jej stosunku do zamordowanego. Aż jednego dnia, los mi bardziej sprzyjał. Siedzieliśmy wieczorem w „Białym Pawiu“, gdy pani Wiera przeprosiła mnie na chwilę i wyszła za kulisy. Obok mnie na krześle leżał jej biały płaszcz. Przystąpiłem natychmiast do badań, które dały nadspodziewane wyniki. Przekonałem się, że włos lisa wychodzi za lada dotknięciem. Na prawej stronie kołnierza zauważyłem dość duże lyse miejsce, jakby powstałe od jednego gwałtownego skubnięcia, dalej białe sukno na prawym rękawie było skudłaczone, jakby ktoś silnie prał je szczotką. Wewnątrz płaszcza była kieszeń. Gdy przypatrzyłem się jej bacznie, spostrzegłem, że jest wypchana, jakby od noszenia ciężkiego i wielkiego przedmiotu. Niektóre miejsca przy listewce kieszeni były wyszarpane tak, jakby przedmiot, który właścicielka ukrywała w kieszeni, był nie tylko ciężki, ale i ostro



zakończony. Te drobne wyszarpięcia były tem dziwniejsze, że płaszcz był prawie nowy. Zanim pani Wiera przyszła, zdołałem płaszcz ułożyć w tej samej pozycji, w jakiej go zostawiła.

Teraz nie miałem już żadnej wątpliwości, że pani Kalinowa była w pokoju Gałkina, starałem się tylko ustalić, jaką tam mogła odegrać rolę.

Z pewnością wiadomo panom z przebiegu śledztwa, że w pokoju zamordowanego nie znaleziono podejrzanego przedmiotu. Wobec tego przypuszczałem, że morderca musiał narzędzie zbrodni ukryć. Jeżeli Wiera Kalinowa popełniła morderstwo, to przypuszczałem, że narzędzie zbrodni musi być u niej w domu, gdyż, jak stwierdziłem, nie miała ani przyjaciół, ani znajomych w Warszawie. Wdzieranie się przemocą do jej mieszkania uważałem za bezcelowe. Mogłem się bowiem w swoich przypuszczeniach pomylić, a wtedy straciłbym raz na zawsze możliwość wyjaśnienia sprawy. Wziąłem się więc na sposób. Onegdaj udałem, że są moje imienniny i nie mam ich z kim spędzić. Ofiarowała mi chętnie swoje towarzystwo. Płaciłem wieczorem w „Białym Pawiu“ znakomity koniak, a po wykwintnej kolacji zamówiłem flakon szampana. Dolewałem jej ciągle, prosiłem i zaklinałem, by piła. Pierwszych kilka kieliszków piła niechętnie, później było jej wszystko jedno. Piliśmy do świtu. Odwiozłem ją do domu zupełnie pijaną i wtedy to po raz pierwszy zdołałem się wcisnąć do jej pokoju. Przed snem zastrzyknęła sobie morfiny i to doprowadziło ją do stanu zupełnej nieprzytomności. Skorzystałem z tego i przeszukałem wszystkie jej schowki. Połów był niezwykle obfity. Znalazłem w dużej walizie olbrzymi „Nagan“ owinięty w kawał gazety, którego kolba wprost była oblepiona krwią i włosami. Uderzeniami kolby tego Nagana został Gałkin zamordowany. Pierwsze uderzenie musiało być tak silne i niespodziane, że zaraz stracił on przytomność, zanim zdołał krzyknąć. Kilku dalszemi uderzeniami zmiażdżono mu już tył głowy. Dalej na samym spodzie walizy Kalino-

wej znalazłem kilkanaście sztuk dziesięciodolarówek, z których kilka było zlanych krwią, ale co najważniejsze, między temi dolarami był duży banknot stularowy przerwany w połowie. Drugą połowę tego banknotu, — o ile panowie pamiętają, — zamordowany ścisnął kurczowo w ręce.

Mając takie dane, kazałem oczywiście Wierę Kalinową aresztować. W policji przyznała się do popełnienia zbrodni.

— A jakie podała motywy? — spytał z ciekawości sędzia Lampert.

— Nie wiem. Po jej aresztowaniu prosiłem zaraz o urlop i więcej nie zajmowałem się sprawą, nawet nie byłem na Daniłowiczowskiej — odpowiedział Sanberg, ale tak niechętnie, że obaj towarzysze zaraz zrozumieli, że nie pragnie mówić o dalszym ciągu sprawy.

Kierski napełnił znów kieliszki wiśniakiem. Sandberg szybko wychylił zawartość swego kieliszka, nie czekając nawet na towarzyszy.

— Ale może wytłómaczy nam pan, jaką rolę odgrywał właściwie w tej sprawie Karnicki? — spytał Kierski.

— Nie wiem — z wahaniem odpowiedział inspektor.

— Ej, po pańskim głosie poznaję, że pan wie, tylko przed nami nie chce zdradzić tajemnicy. — zauważył adwokat.

— Możliwe.

— Rzeczywiście, rola Karnickiego jest w tej sprawie bardzo tajemnicza — powiedział Lampert. — Wczoraj pytałem o to prokuratora Zabielskiego, z którym łączą mnie przecież przyjacielskie stosunki i dał mi taką samą wymijającą odpowiedź, jaką teraz inspektor nam daje. W każdym razie wiem z pewnością, że Karnicki był aresztowany i dopiero wczoraj w południe wypuszczono go z aresztu śledczego — a co jeszcze dziwniejsze, że wczoraj zdjęto na jego własną prośbę z afisza „Sąd nad Antychrystem“, mimo, iż szedł ciągle przy wysprzedanej widowni...

— Tajemnica urzędowa? — spytał Kierski Sandberga.

Inspektor uśmiechnął się dziwnie.

Tymczasem orkiestra zaczęła grać sentymentalną pieśń włoską o ulicznej kwiaciarce. Skrzypce i czelo łąkały smutny refrain:

*O Sennora, Sennores“.  
Jestem piękna Carmencitta,  
Cała pachnę fijołkami  
I obdarzam was kwiatami  
O Senunora, Senniores“.*

Sandberg przybladł, zasłonił ręką oczy. Kierski trącił porozumiewawczo Lamperta.

— Czy przypadkiem ta sama kobieta, która rozbiła Gałkinowi głowę, nie zraniła panu, panie inspektorze, serca? — spytał Sandberga, śmiejąc się Kierski.

Sandberg szybko nalał kieliszki i wychylił swój śpiesznie.

Skrzypce i czelo łąkały dalej...

## ROZDZIAŁ XV.

### U komisarza Gałkina.

Wielka sala rozpraw w pałacu Paca była wypełniona po brzegi. Publiczność tłoczyła się nie tylko w ławkach, ale wypełniała wszystkie przejścia, skupiła się nawet między filarami ponurej kwadratowej sali.

Rozgrywał się epilog tajemniczej sprawy morderstwa przy ulicy Chmielnej.

Na ławie oskarżonych, obok dwóch policjantów z najeżonemi na karabinach bagnetami, siedziała młoda, przystojna kobieta, w czarnej żałobnej sukni. Wbiła oczy w jesionowy pult ławy, pogrążona zupełnie w zamyśleniu. Czasem przymykała powieki i zdawać się mogło, że drzemie, bo ile razy przewod-

nieczący chciał ją o coś zapytać, musiał kilkakrotnie powtarzać pytanie. Wtedy wolno otwierała powieki i z jakimś zdziwieniem wodziła wzrokiem po ławie sędziowskiej, wreszcie w rosyjskim języku dawała lakoniczną odpowiedź. Mimo, iż rozprawa dobiegała końca, oskarżona jeszcze nie obrała żadnej taktyki obrony. Zresztą poco? Do krwawego czynu przyznała się w policji, to samo potwierdziła jeszcze raz wobec prokuratora i sędziego śledczego. W czasie dzisiejszej rozprawy, na stole sędziowskim leżał olbrzymi Nagan z kolbą, oblepioną krwią, dalej kilka zakrwawionych banknotów dolarowych i białe płaszcz z lśniącym puszystym lisem — wszystko niemi świadkowie zbrodni.

Czyn był więc udowodniony — mogły być jedynie wyjaśnione jeszcze pobudki zbrodni, a te oskarżona zazdrośnie chowała dla siebie.

Postępowanie dowodowe było już ukończone, sąd przesłuchał wszystkich świadków z wyjątkiem Ludwika Karnickiego, który wyjechał do Paryża i inspektora Sandberga. Ten usprawiedliwił swą nieobecność świadectwem lekarskim. Zeznania obu tych świadków uchwalono odczytać z protokołu. Przewodniczący zarządził przemówienie stron.

Pierwszy mówił prokurator, oskarżając Wierę Aleksandrę Kalinową o zbrodnię morderstwa rabunkowego. Dla poparcia oskarżenia miał dość dowodów i argumentów, choćby te skrwawione przedmioty i pieniądze, które leżały przed sędziami.

Rola adwokata Kierskiego, który podjął się bezpłatnej obrony, była trudna. Z początkowych już słów jego można było wywnioskować, że motywów zbrodni nie zna, że nawet jemu oskarżona nie wyjawiała, dlaczego targnęła się na życie kaleki.

— Nie znam motywów zbrodni — kończył adwokat swoje przemówienie. — Oskarżona nie chciała mi ich wyjawić mimo, iż przedstawiałem jej fatalne skutki takiego postępowania. Miałem wrażenie, że wzdrygała się nawet wymawiać nazwiska oskarżonego, jakby w tym kierunku złożyła jakiś tajemniczy

mniczy ślub. Dlaczego? — Nie wiem. Przypuszczać jedynie mogę, że pobudką zbrodni była jakaś ponura, straszna tragedia. Śmiem powątpiewać w słowa pana prokuratora, że na dnie zbrodni leżał: — pieniądz. Ten, kto popełnia zbrodnię z tak niskich powodów, jak chęć zysku, ten chwyta się i niskich sposobów obrony, prosi, płaszczy się, kłamie... A zarzut takiej obrony nie może chyba spotkać Wiery Aleksandrówny Kalinowej...

„Gdy oskarżona przekraczała próg tej ponurej sali, spytałem, czy wie, jaka kara czeka ją za zbrodnię morderstwa. Popatrzyła na mnie ze zdziwieniem, jakbym pytał o rzeczy naiwnie proste i odpowiedziała spokojnie: — „Wiem... kara śmierci. Za odebranie życia płaci się życiem własnem’ — to ustalono już od wieków“. Nawet tak silny argument nie pomógł mi zerwać z jej ust pieczęci milczenia i dlatego teraz czuję się bezradnym, nie umię sprostać zadaniu obrońcy...

Gdy Kierski skończył przemówienie, przewodniczący zwrócił się do oskarżonej z zapytaniem, czy chce jeszcze coś dodać w ostatnim słowie, które jej przysługuje. Zaprzeczyła ruchem głowy. Wtedy adwokat nachylił się do niej i szepnął jej kilka słów do ucha.

Z ust oskarżonej wydobył się cichy rozpaczliwy jęk i gdyby nie błyskawiczna pomoc jednego z policjantów byłaby osunęła się na ziemię. Adwokat Kierski wstał i zawiadomił sędziów:

— Oskarżona będzie mówiła...

W olbrzymiej sali zapanowało takie milczenie, że zdawać się mogło, że niema w niej nie oprócz martwych ław i filarów. Setki głów znieruchomiały, publiczność zdawała się być zahypnotyzowana. Oskarżona wstała, poblądłe usta poruszały się szybko, żadne jednak słowo nie wychodziło z jej krtani.

Sędziowie czekali cierpliwie, aż oskarżona opamięta się. Wreszcie zaczęła mówić, ale tak cicho, że przewodniczący zwrócił jej uwagę, że sąd

słów nie słyszy. Mówiła po rosyjsku, tłumacz sądowy tłumaczył każde jej słowo na język polski.

— Chciałam — mówiła oskarżona — wytrwać w milczeniu do końca, bo uważałam, że jeśli zbrodnia znajduje usprawiedliwienie w duszy i sercu sprawcy, to obojętny jest mu wyrok sądu. Dlatego i mnie wyrok, który usłyszę za chwilę nie przerazi swoją srogością. Popelniłam zbrodnię z pełną świadomością tego co czynię, a myśl o jej popelnieniu, kielkowała we mnie od lat kilku. Było to wtedy, gdy mój nieszczęśliwy kraj drgał pod uderzeniami drugiej już rewolucji. Mieszkałam wówczas w Orle. Straszny kataklizm nie zajmowałam się wiele, na rewolucję patrzyłam oczyma kobiety i nie rozumiałam co się dzieje, a jeśli ktoś kreślił czarną przedmną przyszłość, to zbijałam jego wywody słowami: „Bóg będzie miał mnie, mego męża i dziecko w opiece“. Cóż mnie mogły zajmować przewroty polityczne, gdy dom wypełnił mi całą duszę i serce i czułam się najszczęśliwszą istotą na świecie? Wierzyłam święcie, że fala rewolucji mego zacisznego domu nie rozbije. Jednego dnia, dzień ten utkwił mi na zawsze w pamięci, było to 10 grudnia 1920 r. władze sowieckie rozlepiły na rogach miasta jaskrawe afisze, wzywając wszystkich oficerów b. armji carskiej do zarejestrowania. Mój mąż, jako były sztabs-kapitan oddziału saperów, poszedł do gimnazjum Aleksadrowskiego, aby zadość uczynić wezwaniu. Ja i jego matka czekałyśmy długo jego powrotu. Minęła bezsenna noc, a Wołodja nie wrócił. Zamarłyśmy w oczekiwaniu, bo było już południe, a my siedziałyśmy ciągle przy świetle lampy. Jedynie tylko dziecko nie rozumiało naszej trwogi i mileczenia, tuliło ciepłą, jasną główkę to do moich, to do babci kolan. Przyszła pora obiadowa. Postawiliśmy trzy nakrycia, bo czy możliwe, aby Wołodja nie przyszedł i swoim dobrym szczerem śmiechem nie przerwał naszej trwogi i niepokoju?

Minął dzień, minęła druga bezsenna noc oczekiwania. Poszłam do kancelarji gimnazjum Aleksan-

drowskiego, gdzie dowiedziałam się, że znaczną część oficerów wypuszczono już na wolność, a zatrzymano tylko kilku dla szczegółowego przesłuchania, między innymi i mojego męża. Wróciłam do domu i znów zaczęły się godziny straszego oczekiwania. Matka Wołodji klęczała przed ikoną, a ja gładziłam jasną główkę syna, skrapiając ją gęstymi łzami. Minęło kilka dni i znów wybrałam się do tej samej kancelarji. Teraz jednak otrzymałam wiadomość, że mój mąż został przewieziony do budynku Cze-ki przy Woźniesienskoj. Dorożka zawiozła mnie do tego przekłętego domu, przy którym ludzie odwracali głowy. Przez długie, brudne korytarze wprowadzono mnie do poczekalni. Pamiętam, że czekało tam kilka osób w grobowym milczeniu. W oczach ich malował się albo obłądny strach, albo tępa rezygnacja. Siedzieli cicho jak manekiny, bojąc się nawet poruszyć w krzesłach. Ta martwota ludzi stropiła mnie bardzo. Zdawało mi się, że jakaś zimna ręka chwyta moje serce, ścisną je, a potem uścisk zwalnia... Jakieś złe przeczucia zaczęły się przebijać przez mój mózg. Wśród tej martwej ciszy dochodziły do moich uszu dziwne słowa, które ktoś wypowiadał w sąsiednim pokoju. Ktoś zaklinał się, wzywał Boga na świadka, że mówi prawdę. Przerzywał mu ciągle brutalny, cyniczny śmiech kilku ludzi.

— Więc nie wiesz co z tem cukrem? — pytał ktoś za ścianą.

— Przysięgam na Boga, na moje dzieci, że nie wiem. Ulitujcie się wreszcie... — błagał jakiś inny głos.

— Czekaj, zaraz będzie ci słodko, jak po tym cukrze... — usłyszałam groźbę.

Nagle za ścianą rozległ się ryk bólu, który wstrząsnął każdym moim nerwem. Chciałam uciekać z tego straszego pokoju. Opanowałam się jednak i zostałam. Ludzie czekający spojrzeli na mnie ze zdziwieniem, — ich krzyk bólu ludzkiego już nie przerażał, ani nie dziwił...

Po kilkugodzinnem czekaniu wskazano mi adres komisarza, któremu przydzielono sprawę mojego męża. Żołnierz prowadził mnie milcząco przez długi labirynt korytarzy. Przed niektórymi drzwiami stały uzbrojone posterunki. Patrzyłam na twarze tych ludzi, malowało się na nich bezgraniczne posłuszeństwo, gotowość spełnienia każdego, nawet najbardziej szaleńczego rozkazu przełożonego. Te twarze napępniały mnie przerażeniem. Żołnierz wskazał mi wreszcie małe, brudne drzwi, na których czerwona farba widniał napis: „Paweł Michajłowicz Gałkin — dietoproizwoditel“. W pokoju siedział jakiś potworny garbus w zielonej gimnastorce i juchtowych butach. Przedstawiłam mu swoją prośbę, błagałam o wypuszczenie mego męża na wolność. Garbus słuchał z zajęciem, potem śmiejąc się, rozchylił swoje grube, odstające wargi.

— Naiwnie osądza pani sprawę — mówił z szyderstwem. Czy sądzi pani, że władza proletariatu wypuści na pani prośbę człowieka, który przeciw tej władzy spiskował i chciał ją obalić?

— Ale mój mąż nie zajmował się nigdy polityką, oddany był całą duszą swojej starej matce, mnie i dziecku i nie interesował się nawet tem, co się dzieje na ulicy...

— Pozwoli pani, że jesteśmy innego zdania i nie polegamy nigdy na zapewnieniach żon aresztowanych, tylko prowadzimy śledztwo do samego końca.

— Ależ panie komisarzu, mogę przysiąc, na ikonę, że mąż mój jest niewinny...

Garbus roześmiał się jakimś psim skowykiem.

— Aż na ikonę? — to rzeczywiście poważny dowód jego niewinności, który wyratuje pani męża „z pod ściany“ — śmiał się dziko.

Zbliżyłam się do niego, uklękłam i błagałam o litość nad niewinnym człowiekiem.

— Tu nie teatr, — rzucił szorstko i chciał zawołać strażnika, aby mnie wyprowadził z pokoju.



Nie wiedziałam, jak zmiększyć serce tego potwora, który śmiał się z moich łez. Zdjęłam z palca pierścionek zaręczynowy z dużym brylantem i podałam go garbusowi. Gałkinowi zaświeciły się oczy, łapczywie chwycił brylant, ale potem rzucił go w kąt pokoju, aż potoczył się z brzękiem po podłodze.

— Aaa, to pani chciała przekupić urzędnika sowieckiego? — krzyknął z udanym oburzeniem. Czy pani wie, że taka zabawka może życie kosztować?

Padłam jak nieprzytomna do jego nóg, objęłam je rękami, całowałam brudne juchtowe buty i prosiłam, aby zabrał moje życie, a uwolnił męża.

Podniósł mnie z kłęczek; w oczach zaczęły mu grać niesamowite ognie. Jego długie, jak macki ręce zaczęły posuwać się po mnie, gnieść moje ciało. Oddech jego stawał się coraz szybszy, wreszcie nachylił potworną twarz do mojej i mówił:

— Przyjdź do mnie dziś wieczorem, mieszkam na Puszkińskiej, a za kilka dni twój mąż będzie wolny, jeśli nie przyjdiesz, jutro rano mąż twój skończy „pod ścianą...”

Nie słuchał już żadnych prośb, wypchnął mnie brutalnie za drzwi.

Wyszłam na ulicę z rozgorączkowaną twarzą, a w uszach biły mi jak dzwony cerkiewne słowa:

— Przyjdź do mnie. Przyjdź do mnie...

Gdy zapadł mrok wyjęłam z szafy najpiękniejszą suknię, siadłam przed lustrem, zaczęłam żelazkami ondulować włosy, potem malowałam ołówkiem brwi i usta, a ręce moje były tak zimne i nieczułe, jakby nie były moje. Matka staruszka chodziła po pokoju, co chwila rzucała na mnie pytający wzrok. Unikałam jej oczu, śmiałam się rozpaczliwym śmiechem, powtarzałam ciągle jak w obłądnie:

— Wołodja będzie wolny. Wołodja będzie wolny...

Przekroczyłam wreszcie próg mieszkania Gałkina. Pamiętam tylko tyle, że w oczy drażnił mnie strasznie kolorowy obrus i czułam zapach oleju,

na którym gotowano jakieś potrawy. Gałkin poił mnie wódką piłam chciwie, aby stracić resztkę świadomości. Co się potem działo nie pamiętam. Dniało, gdy zbudziłam się w brudnym łóżku. Zaczęłam szybko zbierać z podłogi moje porozrzucane suknie i bieliznę. Gałkin spał.

„W dwa dni po tej strasznej nocy otrzymałam wezwanie do Cze-ki. Płakałam z uciechy, że wykupiłam Wołodję od oprawców. Biegłam bez tchu na Woźniesińską. Długo kazano mi czekać, wreszcie stanęłam przed jakimś brodatym komisarzem, który mówił wybitnie semickim akcentem. Odebrał odemnie wezwanie i szukał czegoś w szafie, wreszcie rzucił na stół podarte łachmany. Gdy spojrzałam na nie, wydałam okrzyk przerażenia... Na stole leżały niebieskie spodnie mojego męża, nasiąknięte zeschłą krwią i podarta zakrwawiona koszula. Padłam zemdlona na ziemię. Gdy odzyskałam przytomność wzięłam krwawy spadek i zaniosiłam jak talizman do domu, dla dziecka...

„Potem szukałam Gałkina. Dowiedziałam się, że wezwano go służbowo do Moskwy. Pojechałam tam, aby go odszukać. Nie wiem, czy się ukrywał, czy rozmyślił, ale podano mi fałszywy adres, — dość, że Gałkina nie odszukałam.

„Do Orła już nie wróciłam. Napisałam list do starszki matki, by zachowała mnie w pamięci i kochała moje dziecko tak, jak ja je Kocham. Zbrukana pamiętną nocą nie śmiałam już dotknąć jasnych włosów syna. Zostałam w Moskwie, ludząc się ciągle, że pomszczę się na Gałkinie i zmyję w ten sposób brud ze swego ciała. Przechodziłam różne koleje losu, — zawsze smutne. Aż udało mi się po kilku latach przedostać z jednym z delegatów sowieckich do Berlina. W Berlinie dowiedziałam się, że Gałkin mieszka w Warszawie i kręci się koło monarchistów. Postanowiłam nie ostrzegać nikogo przed prowokatorem. Wiedziałam, że własnoręcznie go unieszkodliwię.

„Przyjechałam do stolicy Polski, Warszawy. Dowiedziałam się, gdzie mieszka, w jakimś hoteliku, raczej norze rozpusty, z której o zmierzchu lokatorzy wychodzą na ulicę, a rano pogrążeni są w głębokim śnie. Dowiedziałam się dalej, że garbus wychodzi popołudniu o jednej godzinie do cukierni na Wilczej, gdzie spotyka się z jakąś emigrantką, a wieczory spędza w domu. Zebrane informacje posłużyły mi do urzeczywistnienia moich planów. Jednego dnia o godzinie 3-ciej popołudniu stanęłam przed wystawą B-ci Jabłkowskich i czekałam cierpliwie, aż będzie szedł na Wilczą. Gdy zobaczyłam, że zbliża się, na krok przed nim, odwróciłam twarz od szyby wystawowej. Zobaczył mnie i poznał. W pierwszej chwili chciał uciekać, chwyciłam go jednak pod ramię i mówiłam z udanym spokojem:

— Nie potrzebuje się pan obawiać. Dawne rany już zagojone. Nie zdradzę pana. Jestem tu w Warszawie na służbie bolszewickiej, ale źle płatnej, nie mam z czego żyć. Za krzywdę, którą mi pan wyrządził, żądam tylko pieniędzy, a utrzymam wszystko w tajemnicy.

„Spokojne słowa sprawiły, że ochłonął z przerażenia. Prosił mnie, bym odwiedziła go wieczorem w hotelu Mincerowej, gdzie wypłaci mi pieniądze. Zgodziłam się przyjść, ale dopiero następnego dnia wcześniej rano. Wiedziałam, że o tej godzinie lokatorzy hotelu Mincerowej po bezsennej nocy są pogrążeni w najgłębszym śnie. O oznaczonej godzinie zjawiłam się w jego pokoju. Byłam miła i uprzejma tak, że garbus nie tylko niczego nie podejrzewał, ale nawet cieszył się, wierząc w to, że pamiętna noc w Orle może się i tu powtórzyć... Częstował mnie herbatą, prosił bym zdjęła płaszcz i kapelusz.

„Przystąpiłam do targów pieniężnych. Gałkin targował się zawzięcie o każdego dolara. Żądałam tysiąc dolarów — on dawał sześćset. Podeszedł do stołu, otworzył jakąś dziwnie zbudowaną szufladę, wyjął z niej plik banknotów i wetchnął mi go w rę-

kę. Udałam, że nie chcę przyjąć, bo suma jest zbyt mała.

„Targowaliśmy się dalej, ale już przy stole. Garbus dodawał dalszych sto dolarów, nachylił się nad szufladą, aby wy dostać pieniądze. Wyjęłam błyskawicznie z kieszeni płaszcza Nagan; ale nie mogłam strzelić, uderzyłam go z całej siły ciężkim rewolwem w głowę, garbus ani nie jęknął, zachwiał się, chwycił mnie kurczowo ręką za kołnierz futrzany, wtedy uderzyłam po raz drugi. Puścił kołnierz i rozłożył się na stole.

„Uderzałam wtedy raz po raz Naganem w potworną głowę, aż sądziłam, że skończył swój podły żywot. Pieniądże wzięłam bezwiednie nawet, nie pamiętam kiedy to uczyniłam, możliwe, iż w czasie szamotania się wyrwałam mu jakieś pieniądze z ręki, możliwe, że był między nimi i duży banknot studolarowy, który przedarł się na połowę. Nie pamiętam szczegółów zbrodni. Wyszłam z hotelu nieopstrzeżona przez nikogo.

„Twierdzę, iż wymierzyłam sobie sprawiedliwość i stąd mój spokój. Dziś krwawy czyn mój napełnia mi duszę radością, bo uważam, że teraz dopiero zmyłam ohydę pamiętnej nocy w „Orle“. Wyrok sądu przyjmę bez protestu...”

Skończyła mówić, usiadła spokojnie w ławce. Publiczność i sędziowie pogrążeni byli w milczeniu, jakby wsłuchani jeszcze w echo ostatnich słów oskarżonej. Wiera Aleksandrowna Kalinowa ukryła twarz w dłoniach, nerwowy dreszcz wstrząsał jej ciałem. Wkrótce opanowała się, podniosła głowę, spojrzała raz jeszcze na sędziów. Twarz jej była kredowo biała, ale ani jedna łza skruchy nie zabłysła w jej dużych oczach.

Sąd udał się na naradę.

\* \* \*

Zaledwie drzwi pokoju obrad zamknęły się za członkami trybunału, gdy prokurator zbliżył się do adwokata Kierskiego i spytał:

— Co za czarowne słowo szepnął mecenas do ucha oskarżonej, że zdecydowała się wreszcie przemówić?

— Przed kilku dniami — tłumaczył Kierski — dała mi list z prośbą, abym po wyroku wysłał do jej dziecka, oczywiście, że obiecałem to zrobić. Dziś chciałem uderzyć w najtkliwszą strunę jej duszy. Powiedziałem, jej że jeśli zostanie skazana za zbrodnię morderstwa rabunkowego, to zmąci w jasnej głowie dziecka obraz matki i dziecko, gdy podrośnie, będzie ze wstydem o niej myślało...

— Ach więc na nucie macierzyństwa zagrał mecenas. To nigdy nie zawodzi, — zaśmiał się prokurator.

Potem obydwoj zaczęli rozmawiać o obojętnych sprawach.

### Zakończenie.

Zbliżały się święta Wielkiej Nocy. Pierwsze promienie wiosennego słońca ogrzewały ziemię, skostniałe konary i gałęzie drzew. Ciepło i słońce zwały w Aleje Ujazdowskie tłumy publiczności. Jedni, przyszli tutaj, by ogrzać swoje kości po długotrwałej zimie, drudzy, aby wziąć udział w odbywającej się tu co roku, rewji mód wiosennych. Z Łazienek i Ogrodu Botanicznego dochodził uderzający zapach ziemi, którą słońce uwolniło z powłoki lodu i śniegu. Ludzie wchłaniali chciwie ten zapach, jakby chcieli wynagrodzić swoim płucom duszne powietrze mieszań w czasie długich miesięcy zimowych.

Przez tłum spacerujących przebiegała się zreżniona Hanka Krzeszówna. Wysoką, zgrabną figurę obcisłał dobrze skrojony kostjum z miękkiego angielskiego materiału. Szyję owijał szczelnie piękny lis Alaska i szeroką puszystą falą spadał na jej plecy. Szła szybko, jakby się bała gdzieś spóźnić. U wejścia do Łazienek spostrzegła znanego literata Juliana Saje. Zwolniła kroku, podeszła do niego i dotkne-

ła jego ramienia. Saja odwrócił się szybko. Przez twarz przebiegł mu uśmiech szczęścia i zachwytu. Ucałował obie ręce pani Hanki.

— Tak długo kazałaś mi czekać... — mówił z wyrzutem.

— Zawsze się spóźniam, odpowiedziała ze śmiechem, — mężczyzna powinien trochę potęsknić...

— Ależ tęsknię nie tylko chwilę, tęsknię przez wszystkie godziny, w których nie jestem przy tobie Hanko...

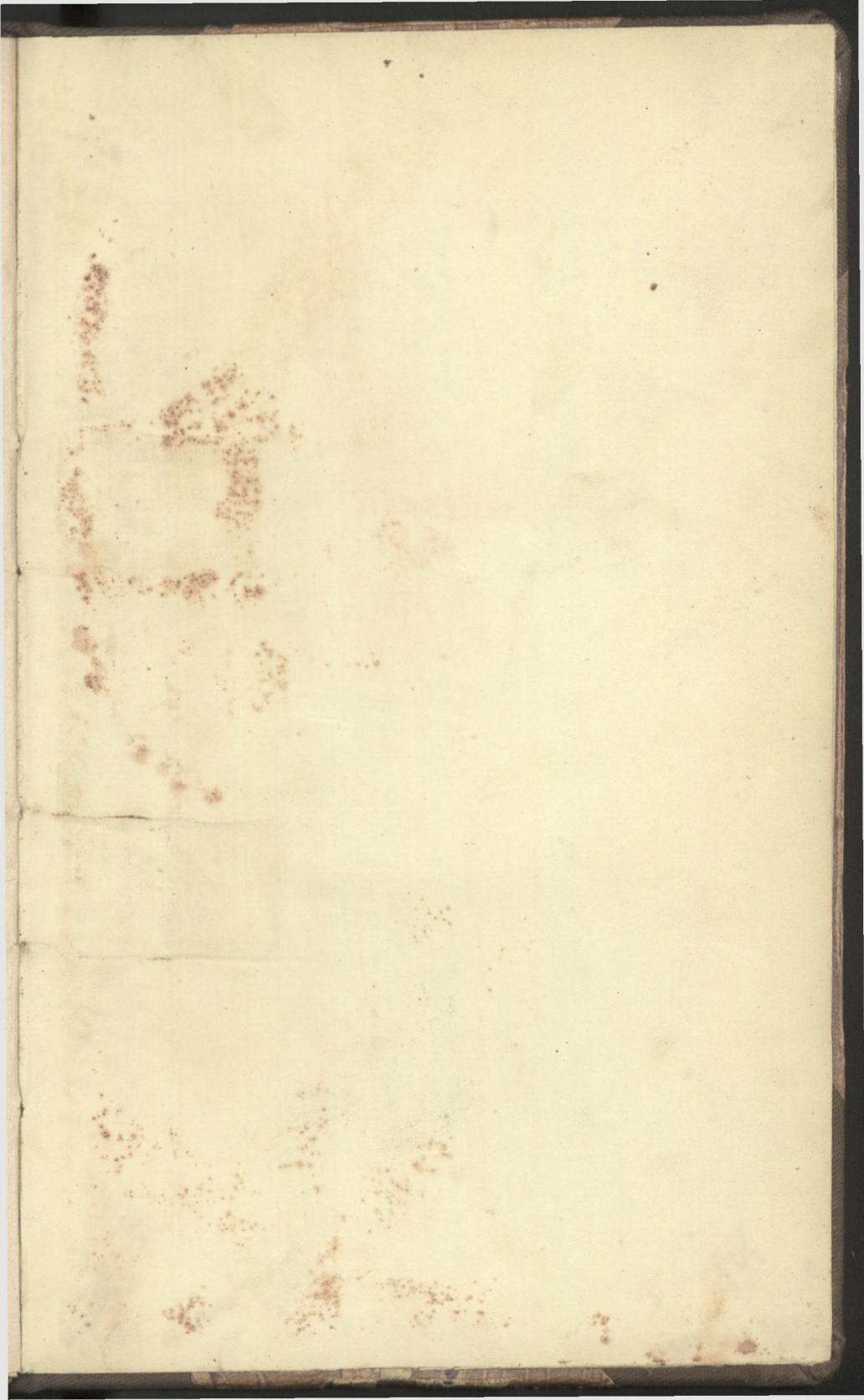
— Naprawdę? — spytała, patrząc mu zalotnie w oczy.

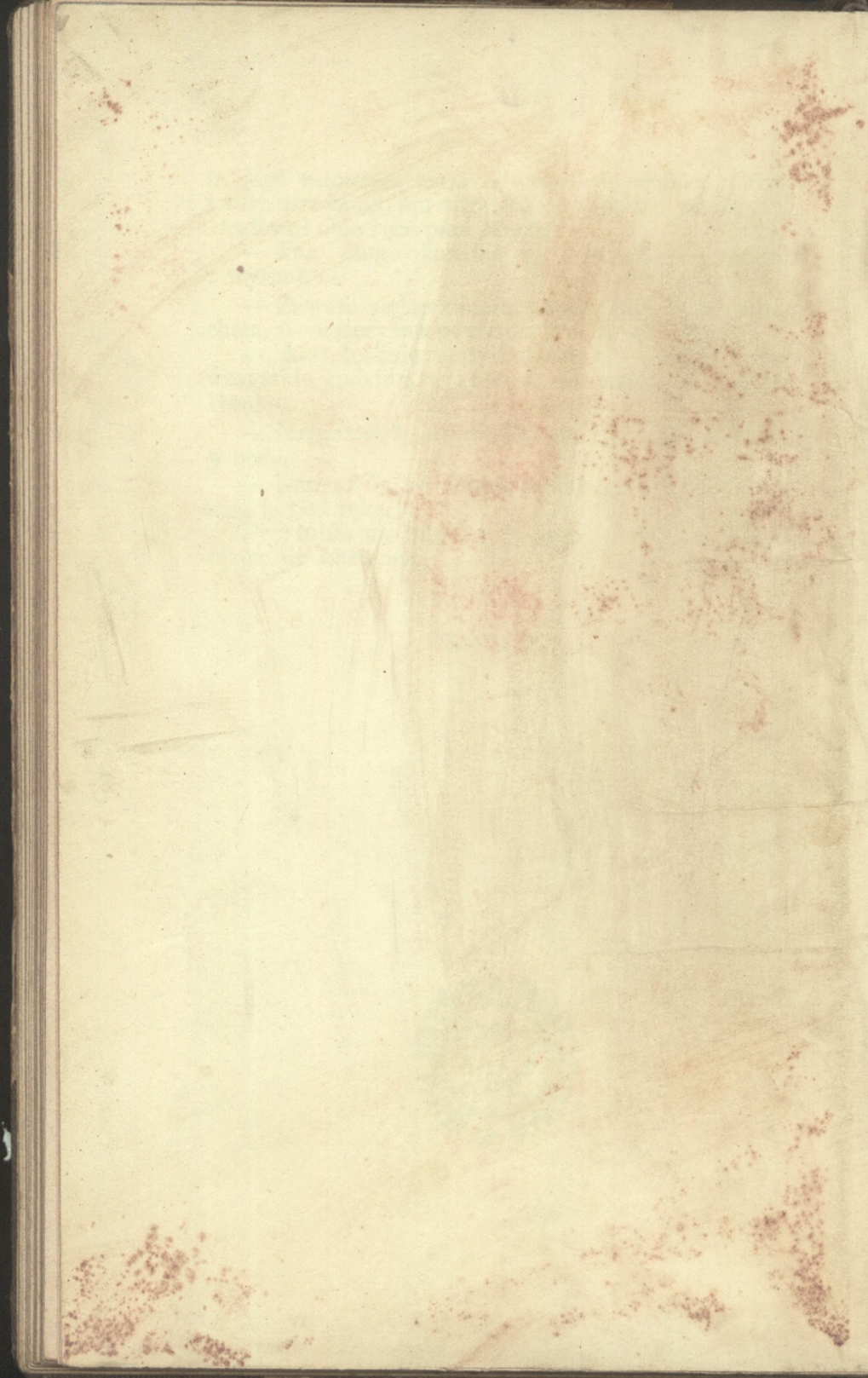
— Naprawdę, — odpowiedział cicho i delikatnie ujął ją pod rękę.

Przytuliła się miękko do jego ramienia i weszli razem do Łazienek.

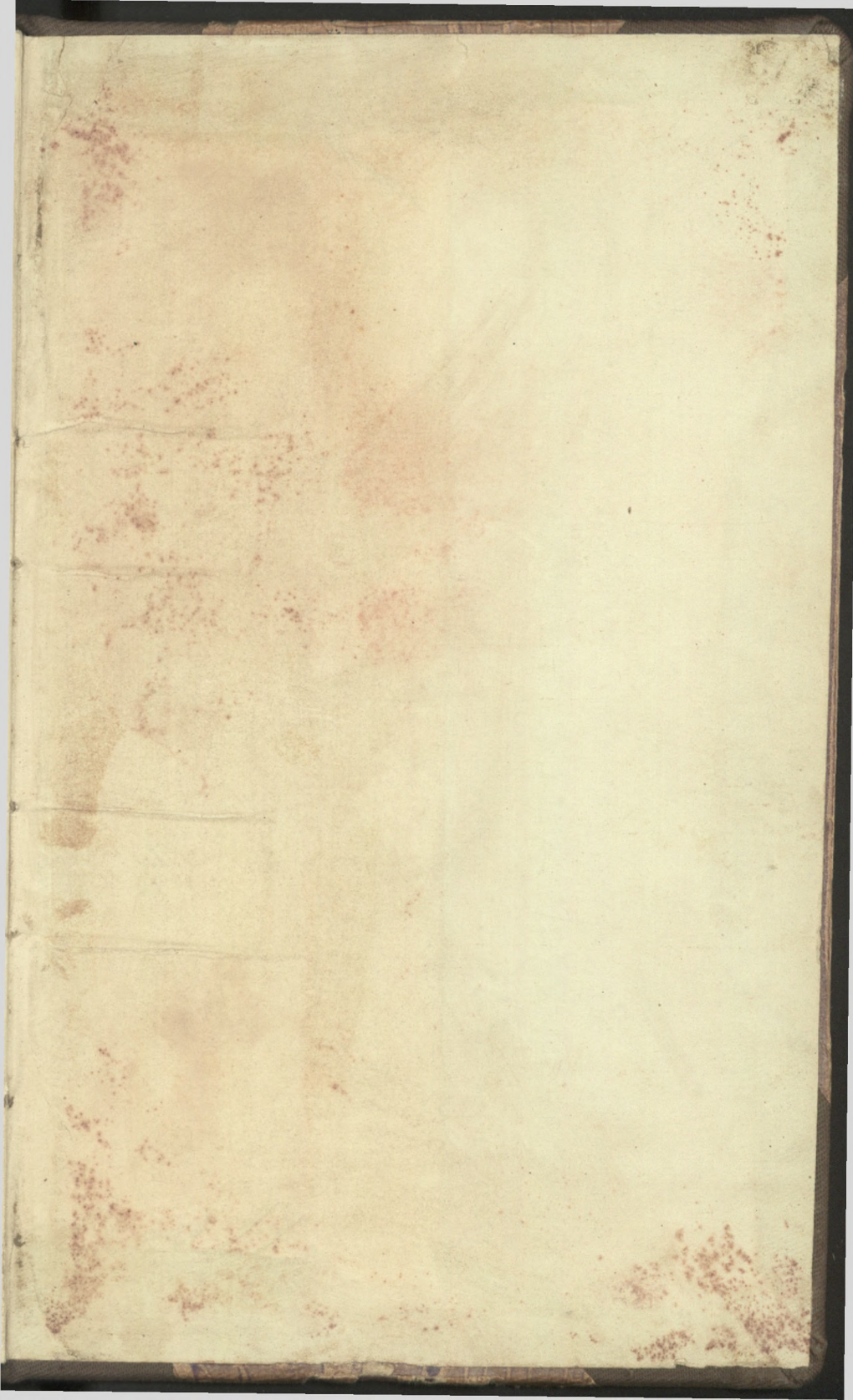
KONIEC.













372987

Biblioteka Narodowa  
Warszawa



30001007637870